
V
B
J
C


KNOWLEDGE
MPL

SZCZEROZŁOTY WĄWÓZ

JACK LONDON

SZCZEROZŁOTY WĄWÓZ

WYDANIE DRUGIE

RÓJ

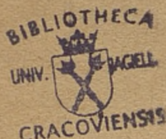






WARSZAWA — 1927.
SKŁAD GŁÓWNY W TOW. WYD. „RÓJ".

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY S. T.
OKŁADKA PROJEKTU S. NORBLINA,
ODBITO 10.000 EGZ. W ZAKŁ.
DRUK. F. WYSZYŃSKI
i S-ka WARSZAWA,
WARECKA 15
W LIPCU
1927.



Szczerozłoty wąwóz.

Było to zielone serce wąwozu. Ściany odrzucały się wstecz niemal prostopadle, zmiękczając ostrość linji tylko w jednym, półkrągłym, miękko objętym zakątku, napełnionym po brzegi słodyczą i bujnością zieleni. Wszystko tu spoczywało w ciszy. Nawet wartki strumień uspakajał i zwalniał nurt, rozlewając się w nieruchome jeziorko. Po kolana w wodzie, schyliwszy głowę i przymknąwszy oczy drzemał czerwonowłosy, rozłożysto-rogi jeleń.

Z jednej strony, rozkwitając u samych warg toni, puszyła się nikła łączka, chłodna, zjeżona opalisto powierzchnia zieleni, rozciągnięta aż ku podstawie wyniosłej ściany skalnej. Z drugiej strony jeziorka wznosiło się niewielkie wzgórze, spiętrzone ku spotkaniu z przeciwległą ścianą. Otulała je bujna trawa, przetkana kwiatem: barwnemi plamami żółcizny, czerwieni i smagłości. Poniżej, wąwóz zwierał się i zrastał, raptownie — przechodząc w chaos skał, porosłych mchem i ukrytych za zasłonami pnączy i gałęzi. Zsunięte ściany zamykały od tej strony wszelki widok. Ponad wąwozem strzelały w niebo dalekie szczyty, porosłe iglastą drzewiną i zasnute mgłą oddalenia.

Jeszcze zaś dalej, niby złota chmura na widnokręg trwały smukłe minarety bieli, na których wiekuist śniegi Serry polśniewały — surowe i nieskalane — w blaskach słońca.

Nie znalazłbyś w wąwozie ani pyłka kurzu. Liście i kwiaty rosły czyste i dziewicze. Trawa była samym młodziutkim aksamitem. Schylone nad potokiem trzy bawełniane drzewa strząsały spokojnie śnieżny puch w nieruchome powietrze. Na łagodnem wzgórzu, pąki pnącej manzanity oddychały wiosenną słodyczą, liście zaś, mądre doświadczeniem poczynały już wyprostowywać się do pionu, broniąc swej świeżości przed ostrą spieką lata.

Na nieporosłych płaszczyznach wzgórza, poza najdalszym dosięgiem cienia manzanity, kołysały się lilje maripoza, niczem wielkie strojne klejnotami ćmy, nagle zatrzymane w locie, lecz do dalszego lotu wciąż jeszcze skrzydłami drżące.

Tu i owdzie, madrone, ten arlekin puszczy, (pozwalając chwytać się na gorącym uczynku zmieniania barwy swego pnia z zielonej niczem groch na czerwoną jak wino) dyszał aromatem z bujnych gron woskowanych dzwonków. Mleczno-białe to dzwonki, uwięszone misternie jak konwalje, a pachnące słodko niby wiosna.

Ani drgnienia wiatru. Sennie od aromatów. Słodycz ta byłaby aż pijana, gdyby powietrze leżało duszne i wilgotne. Było jednak przejrzyste i ostre, niby lśnienie gwiazd rozpuszczone w atmosferze, grzane ciepłem słońca i przetkane słodyczą, jak kwieciem.

Samotny motyl polatywał cicho pośród plam światła i cienia. Zewsząd wstawał niski i senny pobrzęk pszczół górskich — ucztujących łakomców, co

otrącały się dobrodusznie u brzegu kielichów, nie racąc rozkoszy żywota na gorzkie źwady. Strumyk spokojnie wydeptywał sobie ścieżkę pośród wąwozu, i zrzadka tylko odzywał się cichutkim bełkotem. Głos tej wody maleńkiej był niby szept w półśnie, przerwany niekiedy snem głębokim, lub nagłem przebudzeniem.

Ruch wszystkiego, co istniało w zielonem sercu wąwozu, zdawał się posiadać płynność. Blask słońca spływał — płynęły skrzydła motyli pośród drzew. Brzęk pszczół i poszept ruczaju był samym płynieniem dźwięku. Płynność zaś dźwięków i barw zdawała się zlewać w nieuchwytny czar, tworzący ducha owego miejsca ziemi. Był to duch spokoju, nie podobny śmierci, lecz podobny raczej łagodnemu tętnu życia; duch ciszy, która nie zapadła w milczenie, ruchu, który nie przeszedł w działanie, odpoczynku, na dnie którego pulsowało istnienie, niezmącone nigdy walką ani pracą. Duch tego miejsca ziemi był duchem spokoju życia, zległego w dosycie i niezmąconego echem żadnych odległych wojen. Czerwonowłosy, rozłożystorogi jeleń zdawał się wcielać w siebie nastrój zaczarowanego ciszą wąwozu. Drzemał, stojąc po kolana w świeżej, ocienionej wodzie. Żaden owad nie śmiał widocznie mącić jego spokoju, to też wspaniałe zwierzę ociężało w bezruchu, zrzadka tylko poruszając uszami, kiedy strumień budził się z głośniejszym szeptem. Uszy zresztą drgały też leniwie, jak gdyby wiedząc zawczasu, że to tylko strumyk sam siebie dobrodusznie strofuje za lenistwo.

Nadeszła jednak chwila, kiedy uszy jelenia podniosły się szybko i ostro, czujnie chwytając dźwięk. Rogata głowa zwróciła się ku wylotowi wąwozu. Wra-

żliwe, rozegrane nozdrza skwapliwie wciągnęły powietrze. Oczy nie zdołały przebić zielonej gęstwiny w której znikał strumień, lecz zato uszy chwytały głos — człowieka. Był to głos mocny, jednostajny, śpiewny. Raz nawet żelazo uderzyło ostro o kamień. Na ten dźwięk jeleń ryknął i dał susa z wody na łąkę. Kopyta wsiąkły w zielony aksamit traw, uszy sprężyła czujność, nozdrza raz jeszcze wciągnęły oddech. Potem zwierz ruszył przez łączkę, coraz to przystając i nadsłuchując. Wreszcie zniknął z wąwozu, niby cień lekkonogi i bezszelestny.

Odgłos stąpania podkutych butów po skale stawał się coraz wyraźniejszy. Głos ludzki rozbrzmiał pełniej, wznosząc się w piosence, brzmienia której nie głuszyła już odległość.

Wraz z piosnką dał się słyszeć zgrzyt narzędzia o skałę. Duch cichego wąwozu uleciał w ślad za czerwonym jeleniem. Zielona zasłona pękła. Człowiek ukazał się młodej łące, cichemu jezioru i łagodnemu wzgórzu. Był to jak się okazało, rozsądny gatunek człowieka, objął bowiem widok jednym rzutem oka, poczem zwolna obejrzał szczegóły, sprawdzając pierwsze wrażenie. Wtedy — i właśnie dopiero wtedy — otworzył usta w okrzyku zachwytu.

— O, na wszystkie węże czyśćca! Drzewa, woda, trawa i łagodne zbocze! Sama rozkosz dla Rybaka skarbów — raj dla włóczęgi. Chłodna zieleń dla zmęczonych oczu. Tajemniczy kraj łupów dla szukającego złota i godne miejsce odpoczynku dla strudzonego Kopacza. Niech mnie licho, jeśli nie mam węchu!

Przybysz był postaci wątławej i nijakiej, zato w twarzy wesołość kojarzyła się swobodnie z dobrodusznością i inteligencją. Rysy miał żywe, szybko

mienne, stosownie do stanu duszy. Myślenie było procesem widocznym na jego twarzy. Myśli gnały mu wtedy przez oblicze, niby fale po powierzchni jeziora. Włosy, również skąpe były nijakie i bezbarwne. Zdawaćby się mogło, iż wszelka przeznaczona tej twarzy barwa spłynęła w oczy, tak miały jaskrawy, ostry błękit. Kryły też w sobie iskierkę śmiechu, i cień jakby dziecinnego zdziwienia, a przecież w jakiś niepojęty sposób zawierały też siłę spokojnego opanowania i decyzji, ugruntowaną na znajomości siebie i znajomości świata.

Z poza zasłony pnączy i krzewów wydobył i cisnął przed siebie narzędzia kopacza: motykę i łopatę, oraz patelnię do płukania złota. Wreszcie sam wyszedł na otwartą przestrzeń. Odziany był w zmięte, spłowiałe ubranie i czarną bawełnianą koszulę, buty ciężko podkute, na głowie kapelusz, którego kształt i barwa świadczyły dowodnie o niezłych cięgach deszczu i wiatrów, żaru słonecznego i dymu ogniska. Stał wyprostowany pijąc szeroko rozwartymi oczyma czar otoczenia i wchłaniając zmysłowo ciepły, słodki oddech dzikiego ogrodu nozdrzami drgającemi z zachwytu. Oczy więziły mu się w roześmiane szparki błękitu, twarz rozjarzyła radośnie, wargi wygięły uśmiechem. Zawołał:

— Ach, wy! Szczęśliwe mlecze, wesołe malwy! Jakże tu pachnie! Olejki różane! Istna fabryka perfum!

Lubił się powtarzać. Żywa zmienność twarzy dawno już wyraziła myśl nadchodzącą, ale język — pożal się Boże — nadążał z trudnością.

Podróżny położył się wygodnie na brzegu jeziorka i długimi, głębokimi łykami pił jego wody. „Tru-

neczek — pierwsza klasa!" mruknął, wznosząc głowę. Patrzał na wzgórze przeciwległego brzegu poprzez jeziorko, wycierając tymczasem usta wierzchem dłoni.

Stoki wzgórza przykuły jego uwagę. Wciąż jeszcze leżąc na brzuchu, badał oczyma ich budowę długo i starannie: Wprawne i doświadczone było to spojrzenie, sunące w górę stoku aż ku zębiastym zrębom kanjonu, a potem spełzając zwolna w dół, aż ku powierzchni wód. Stanął wreszcie na równe nogi i raz jeszcze ogarnął spojrzeniem zbocze.

— Widzi mi się, że i to też jest pierwsza klasa,— stwierdził wreszcie, podnosząc motykę, łopatę i patelnię.

Przeszedł strumień poniżej jeziora, stąpając zgrabnie z kamienia na kamień. W miejscu gdzie zbocze dotykało wody, zagarnął pełną łopatę piachu i zsypał ją na patelnię. Schylił się, trzymając patelnię obiema rękami i częściowo zanurzył ją w wodzie. Potem nadał patelni lekki ruch obrotowy, który przepędził wodę tam i sam przez piach i żwir. Większe i lżejsze cząsteczki wypłynęły na powierzchnię i jednym ruchem patelni, nadanym wprawną ręką — wypłukane zostały nazewnątrz i przerzucone przez brzegi. Od czasu do czasu poszukiwacz złota wstrzymywał obrót naczynia aby palcami wybrać i wyrzucić co większe okruchy skał.

Zawartość patelni zmniejszała się szybko, aż wreszcie pozostały tylko najdrobniejsze cząsteczki żwiru i najdelikatniejszy piasek. Wtedy rozpoczęło się płukanie jeszcze staranniejsze, jeszcze bardziej ostrożne. Subtelna to była praca, z każdą chwilą coraz subtelniejsza, pełna czujnej uwagi i prowadzona bacznemi, lekkiemi ruchami palców. Wreszcie patel-

nia wyglądać zaczęła tak, jakby nie zawierała nic, prócz wody. Wtedy człowiek nagłym szybkim obrotem chlusnął wodę poza płaski brzeg patelni prosto w strumień, poczem uważnemi oczyma dostrzegł ledwie znaczną warstwę czarnego piasku na dnie naczynia. Warstewka była tak cienka, że wyglądała niby leciutkie pociągnięcie farbą. Człowiek się jej przyjrzał zbliska. Pośrodku dostrzegł drobniuchną plamkę złota. Wtedy pochylił patelnię i wpuścił poprzez brzeg nieco wody strumienia. Szybkim obrotem przemył tą wodą dno, przewracając kilkakrotnie ziarnka czarnego piasku. Pojawienie się drugiej drobnej plamki złota nagrodziło ten wysiłek.

Teraz praca nabrała jeszcze większej subtelności, większej niż stosują zwykle przeciętni kopacze. Co pewien czas drobne porcje czarnego piasku przerzucane zostawały poza brzeg patelni. Każdą grudkę badały oddzielnie czujne oczy ludzkie, zanim zdecydowały przerzucenie przez brzeg. Zazdrośnie, ziarnko po ziarnku pozwalał wymykać się czarnemu piaskowi. Złota plamka, nie większa niż łebek szpilki pojawiła się na brzegu, lecz po odpowiednich ruchach patelni wróciła na środek i na dno. W ten sam sposób odnalezione zostało jeszcze nie jedno drogocenne ziarnko. Troskliwość podróżnego o owe grudki złota była niezmierna. Ochraniał je niby pasterz stado owiec. Żadna nie mogła mu umknąć. Wreszcie, na patelni pozostało już tylko owe złote stadko. Człowiek policzył je uważnie, poczem jednym krótkim strzepnięciem wodnej fali strącił je wszystkie do strumienia, jakby nie pomnąc własnej pracy i pieczołowitości.

Pomimo to, niebieskie oczy zalśniły pragnieniem, kiedy człowiek wstawał z nad strumyka. — Siedem —

wymówił głośno cyfrę złotych ziarn, o które walczył tak uporczywie i które odrzucił precz tak lekkomyślnie. — Siedem — powtórzył z naciskiem, jakby starając się wyryć sobie tę cyfrę w pamięci.

Stał nieruchomo dłuższą chwilę, obserwując zbocze. W oczach płynęła mu ostra, świeżo - zrodzona ciekawość. Twarz wyrażała czujność i podniecenie, jak u drapieżnego zwierzęcia, węszącego świeży ślad zdobyczy.

Zrobił kilka kroków z biegiem strumienia i nałożył drugą patelnię piasku i żwiru.

Poraz drugi zaczęło się ostrożne płukanie, zazdrosne strzeżenie stadka złotych ziarn. Poraz drugi też nastąpiło lekkomyślnie ich strzepnięcie w wodę, natychmiast po najstaranniejszem przeliczeniu.

— Pięć — mruknął. — Pięć — powtórzył.

Nie mógł powstrzymać się od jeszcze jednego przeciągłego spojrzenia na zbocze, zanim zaczerpnął następną patelnię, znowu o parę kroków poniżej. Złote stadko zmniejszało się. — Cztery, trzy, dwa, dwa, jeden — brzmiały obliczenia w miarę posuwania się człowieka w dół rzeczki. Kiedy jedno już tylko ziarnko dostało mu się w zamian za trudy — wyprostował się i zajął rozpaleniem ogniska z suchych gałązek. Do ognia tego wsunął patelnię i przepalał, aż stała się czarno - błękitna od żaru. Poczem podniósł patelnię do oczu i przyglądał się jej uważnie. Potem pokiwał głową z zadowoleniem. Na takiem tle widać będzie doskonale każdą najmniejszą drobinę złota.

Posuwając się ciągle z biegiem strumyka, nie przestawał kopać i płukać. Trafiały się wyłącznie pojedyńcze ziarnka. Trzecia patelnia nie zawierała złota wcale. Nie dając za wygraną, człowiek jeszcze

trzy razy brał próbki, jedna po drugiej na odległości stopy. Każda patelnia dowodziła, że złota tu już niema, lecz fakt ten, zamiast martwić, zdawał się właśnie cieszyć zawziętego poszukiwacza. Podniecenie jego wzrastało na widok każdej pustej patelni, wreszcie zaś wstał, i wyprostował się, wołając radośnie:

— No, jeślim nie trafił na to właśnie czego szukałem, to niech mi ręka boska zbombarduje głupi łeb kwaśnemi jabłkami!

Powrócił teraz do miejsca, skąd zaczął poszukiwania i brać począł próbki w górę strumienia. Złote stadko wzrosło odrazu — wzrosło niebywale. — Czternaście, osiemnaście, dwadzieścia jeden, dwadzieścia sześć — brzmiały wyliczenia. Tuż ponad jeziorkiem zdobył swą najbogatszą próbę: trzydzieści sześć złotych ziarn.

— Właściwie, wartoby już schować — zauważył z żalem, pozwalając wodnej fali unieść je z patelni.

Słońce stanęło pośrodku nieba. Człowiek pracował dalej. Szedł ciągle w górę strumienia. Ilość złotych ziarn zmniejszała się stopniowo, lecz wyraźnie.

— Coś fenomenalnego, jak to ślicznie znika! — ucieszył się znowu, kiedy patelnia wykazała tylko jedno ziarnko.

Kiedy zaś kilka prób kolejnych nie przyniosło wcale złota, człowiek wyprostował się i obdarzył zbocze wąwozu pełnem ufności i już nieco poufałem spojrzeniem.

— Aha! panie Mieszek! — wykrzyknął, niby do słuchacza ukrytego gdzieś poza wzgórzem. — Aha, panie Mieszek,! Jadę na całego! Już jestem blisko mety! Już dojeżdżam. Słyszysz panie Mieszek! Takim tego pewien, jak i tego, że rzepa to nie ananas!

Obejrzał się i bacznem spojrzeniem obrzucił kulę słońca, zawieszoną pośród bezchmurnego nieba. Potem iść począł w dół wąwozu, linją wykopanych przez siebie dołków próbnych. Przebrnął strumyk poniżej jeziorka i znikł za zieloną kotarą. Duch wąwozu — czar ciszy i odpoczynku — nie powrócił jednak na to miejsce, albowiem z gęstwiny rozbrzmiewał donośny śpiew człowieczy, nie przestając brać w posiadanie cudnej przełęczy.

Po pewnym czasie, z większym jeszcze klekotem podbitych butów o skały — człowiek powrócił. Zielona zasłona zakołysała się niezwykle mocno. Falowała wtył i naprzód jakby w spazmach walki. Zabrzmiał szczęk metalu. Głos człowieka skoczył na jakąś wysoką nutę i zaostrzył się w jakimś zaciętym rozkazie. Jakieś duże cielsko zachrapało i sapnęło. Dało się słyszeć szarpanie i rozrywanie gałęzi i wreszcie z pośród opadających liści wynurzył się—koń. Na grzbiecie niósł toboł, za sobą zaś wlókł tren porwanych pnączy. Zwierzę zdziwionemi oczyma przyjrzało się arenie, na którą je wepchnięto, poczem spuściło łeb ku trawie i spokojnie zabrało się do jedzenia. Po chwili drugi koń pojawił się wślad za pierwszym. Zsunął się niezręcznie ze śliskiej od mchów skały i odzyskał równowagę wtedy dopiero, kiedy trafił kopytami na mięsistość łączki. Nie niósł jeźdźca, chociaż szedł pod siodłem, wysokim meksykańskim siodłem, zdartem i spłowiałem w długiem użyciu.

Człowiek zamykał ten pochód. Zrzucił tobół i siodło, rozglądając się za miejscem obozu. Konie puścił wolno na trawę. Rozpakował żywność, nie zapomniawszy też o patelni do smażenia i garnku do

gotowania trawy. Zebrał naręcz suchych drew i kilkoma kamykami zabezpieczył miejsce ogniska.

— O-wa! — mruknął — alem głodny! Z przyjemnością zgryzę podkowę, zakąszę hufnalami i nader wdzięczny będę imć pani dobrodziejce za drugą porcyjkę.

Wyprostował się i w chwili gdy sięgał po zapałki do kieszeni kurty — rzucił oczyma poprzez jeziorko ku skalnemu zboczu. Palce zajęły już pudełko, lecz nagle rozluźniły chwyt i ręka pusta ukazała się z kieszeni. Człowiek zawahał się. Spojrzał na przygotowania do obiadu — i spojrzał raz jeszcze na ścianę wąwozu.

— Myślę, że wartoby drapnąć ją jeszcze troszeczkę — zadecydował, zabierając się do przejścia strumienia.

— Wiem, że to nie ma sensu — tłomaczył się sam przed sobą — ale jeszcze jedna godzinka postu nie zaszkodzi mi przecież.

O parę stóp wstecz poza pierwszą linją próbek, rozpoczął teraz kopanie linji drugiej. Słońce zniżało się ku zachodowi, cienie padały coraz dłuższe — lecz człowiek pracował. Rozpoczął trzecią linję próbnych kopań. Przecinał zbocze skalne linjami jedną po drugiej, każdą prowadząc coraz wyżej. Środkowe punkty każdej linji dawały najbogatsze próby, końce zaś linji wypadały tam, gdzie na patelni nie można było odnaleźć ziarn złota. W miarę wznoszenia się ku górze ściany, linje stawały się wyraźnie coraz krótsze. Regularność z jaką zmniejszała się długość owych linji zdawała się wskazywać, iż wreszcie gdzieś na szczycie zbocza ostatnia linja będzie tak krótka, że wreszcie uważać ją będzie można za punkt. Deseń próbnych ko-

pań wyglądem swoim przypominać począł odwrócone „V". Ramiona owego „V" zamykały sobą złotodajną przestrzeń. Zbieg owych ramion był najwyraźniej „goalem" zawziętego poszukiwacza. Nieraz wodził spojrzeniem wzdłuż ramion odwróconego „V", starając się odgadnąć miejsce, gdzie wypadnie ów punkt, gdzie złote pole się skończy. Tam właśnie rezydował Imć Pan Wypchany Mieszek — tak bowiem zwracał się łowca skarbów do owego tajemniczego punktu na zboczu, wołając bez ceremonji:

— Złaź-no niżej, panie Mieszek! Złaź, bądź uprzejmy, nie każ się prosić!

— Dobrze — dodawał za chwilę zrezygnowanym głosem.—Dobrze. Niech i tak będzie, mój złoty Mieszku. Wolisz żebym ja wlazł na górę i sam przyszedł po ciebie. Przyjdę! Żebyś wiedział, że przyjdę! — groził wreszcie.

Każdą próbkę niósł na patelni do strumienia i płukał. Im wyżej brane tem bogatsze stawały się próbki. Wreszcie kopacz zaczął chować złote ziarna do pustego pudełeczka od sody, noszonego lekkomyślnie w kieszeni. Praca pochłonęła go tak mocno, że nie zauważył długiego zmroku nadchodzącej nocy. Dopiero kiedy napróżno probował dostrzec złote plamki na dnie patelni — pojął jak jest późno. Wyprostował się gwałtownie. Wyraz świętego oburzenia i niekłamanego zdziwienia rozlał się po zmęczonej twarzy:

— Niechże Bóg ma w opiece mnie i moje guziki! Na śmierć zapomniałem o obiedzie!

Pociemku przebrnął przez strumień i rozpalił dawno czekające drwa. Słonina, suchary i odgrzana fasola złożyły się na wieczerzę. Po wieczerzy człek rozpalił sobie fajeczkę od dymiących jeszcze węgli,

i usiadł spokojnie, słuchając szmerów nocy i patrząc jak srebrny nurt księżyca sączy się wgłąb wąwozu. Wreszcie rozwinął pościel, zdjął ciężkie buty i kołdrę naciągnął aż po brodę. Twarz jego zalśniła biało w księżycowym blasku, niby twarz umarłego. Lecz był to umarły, znający dobrze chwilę swego zmartwychwstania, albowiem uniósł się nagle, oparł na łokciu i popatrzył na swoje zbocze.

— Dobranoc ci, miły Mieszku! — zawołał sennie. — Dobranoc.

Przespał wczesną szarość poranku i dopiero kiedy proste promienie słońca dotknęły zamkniętych powiek, obudził się gwałtownie i rozejrzał wokoło. Rozglądał się dopóty, dopóki nie ustalił swego miejsca na ziemi, oraz łączności dnia, który nadszedł, z dniami, co przeminęły.

Ceremonja robienia toalety ograniczyła się do wciągnięcia butów. Człowiek spojrzał na zbocze skalne — potem na miejsce po wygasłem ognisku. Pokonał jednak pokusę i zabrał się do rozpalania.

— Trzymaj się w cuglach, Bill, trzymaj się w cuglach — prawił sam sobie.—Co ci przyjdzie z pośpiechu? Niema sensu. Nie należy nic robić na łeb na szyję. Co nagle, to po djable. Imć Mieszek nie zając, nie ucieknie. Zaczeka aż zjesz przyzwoicie śniadanie. Cóż, mój miły Billu, nareszcie jest coś nowego w interesie, hę? Tylko sięgnąć i wziąć.

Wyciął sobie pręt na brzegu jeziorka, poczem wydobył z kieszeni kawałek płótna i zgniecioną „przynętę", która była ongiś wspaniałą gąsienicą.

— Może chyci od samego rana na dobry początek — mruknął, zanurzając w wodę improwizowaną sieć. W chwilę potem krzyczał radośnie:

— I cóż wy na to, moi państwo? I cóż wy na to? Nie miał ochoty ani potrzeby tracić czasu. Jednym szybkim ruchem wyciągnął z wody worek w którym lśnił dziesięciocalowy pstrąg. Jeszcze trzy pstrągi, złapane w ten sam sposób oraz w takim samym tempie — i śniadanie gotowe.

Kiedy po dłuższej chwili człowiek przechodzić począł strumyk skacząc z kamienia na kamień i kierując się ku swej kopalni — poczuł uderzenie nagłej, niespokojnej myśli i przystanął:

— A może tak warto zrobić mały wywiad w dół rzeczki — powiedział sam sobie. — Nie wiadomo co może grozić w pobliżu.

Poczem ruszył dalej po kamykach i wraz ze słowami: „Istotnie, trzeba będzie koniecznie zrobić wywiad" — myśl o ostrożności opuściła jego głowę. Cały pogrążył się w pracy.

Wyprostował się — kiedy noc zapadła już ponad wąwozem. Grzbiet miał sztywny i obolały od nieustannego pochylenia. Probował ręką rozprostować i wygładzić protestujące mięśnie, tymczasem zaś swoim zwyczajem dogadywał sam sobie:

— Hm, i cóż wy na to? Niechże to licho porwie! Znowu na śmierć zapomniałem o obiedzie! Jeśli nie będę na siebie zważał, zdegeneruję się na nieboskie stworzenie, jadając tylko dwa razy na dzień. Fe!

— Mieszki, kabzy i kieszenie, to najgorsze szatany pod słońcem. Zupełnie odejmują zdrowy rozum człowiekowi, stwierdził tej nocy, wpełzając pod koce. Ale nie zapomniał krzyknąć ku ulubionemu zboczu:

— Dobranoc, panie Mieszku! Dobranoc!

Zerwawszy się wraz ze słońcem i łyknąwszy pośpiesznie śniadanie — stanął znowu do pracy. Gorączka złota zdawała się wzrastać w nim z każdą chwilą. Nie ochładzało jej nawet wzrastające bogactwo próbnych patelni. Policzki zaczerwienione miał innym niż od słońca rumieńcem. Nie czuł zmęczenia, nie zauważał mijania czasu. Kiedy napełnił patelnię żwirem — biegł do strumienia i płukał. Nie mógł też wstrzymać się, żeby natychmiast po przepłukaniu nie pobiedz po następną próbkę — zdyszany i kulejący. Kopał teraz już w odległości dobrych stu yardów od wody i odwrócona litera „V" nabierała coraz bardziej zdecydowanych proporcji. Szerokość złotonośnej przestrzeni kurczyła się coraz bardziej i człowiek mógł już przedłużać spojrzeniem ramiona owego „V" aż do ich zetknięcia u szczytu wzgórza. Wierzchołek „V" był *goal'em* upartego kopacza. Probował kilkakrotnie umiejscowić ów punkt upragniony.

— Ze dwa yardy ponad tym krzakiem manzanity i dobry yard na prawo — zakonkludował wreszcie.

Pokusa zwyciężyła jednakże. — To proste i pewne, jak nos pośrodku twarzy — powiedział sam sobie na pociechę, rzucając mozolne kopanie linjami i pnąc się prosto ku wyobrażalnemu przecięciu ramion „V". Napełnił patelnię i zniósł ją do strumienia by przemyć. Nie zawierała ani jednego ziarnka złota. Kopał głęboko, kopał płytko, napełniając i przemywając ze dwanaście patelni — ani śladu. Zły był, że dał się porwać pokusie. Klął sam siebie bezwstydnie a szpetnie. Potem zszedł pokornie na dawne miejsce i wziął się do przerwanej pracy.

— Powolutku aż do skutku, mój Billu; powolutku aż do skutku — gderał pocichu. — Zbyt obcesowo

do pani Fortuny nie należy się zabierać, jużeś się nieraz przekonał. Sięgnij-że po rozum do głowy. Jedyna metoda dla ciebie to: powolutku aż do skutku. Więc bierz powolutku, ale trzymaj mocno.

W miarę zwężania się „V" długość ramion litery rosła. Prócz tego złota żyła zagłębiała się w zbocze. Już tylko od głębokości 30-tu cali pod powierzchnią odnaleść było można ślad złota. Piasek wydobyty z głębokości 25-ciu cali, jak również 35-ciu cali — złota nie zawierał zupełnie. U podstawy „V", przy samym strumieniu, cenne ziarnka znaleść było można tuż pod korzeniami trawy. Im wyżej — ku szczytowi wzgórza, tem głębiej zapadała żyła. Wykopanie trzystopowego dołu dla wydobycia jednej próbki — to nie drobnostka. Pomiędzy zaś kopaczem i wierzchołkiem odwróconego „V" leżały jeszcze niezliczone próbne doły czekające wykopania.

„I niewiadomo jeszcze jak mi głęboko ucieknie" — westchnął Bill, wyprostowawszy się na chwilę i rozcierając ręką obolały grzbiet.

Rozgorączkowany pożądaniem, nie myśląc o bólu zesztywniałych mięśni, ryjąc łopatą i motyką miękką bronzową ziemię — pracował uparty człowiek, zwolna posuwając się w górę zbocza. Przed nim rozpościerało się łagodne wzgórze, usłane kwiatami i dyszące słodko w cieple słońca. Poza nim — ziało zniszczenie. Niby jakieś straszliwe pazury rozdzierały gładką i piękną skórę tej łąki na górskim stoku. Powolny postęp ręki człowieczej był niby nóż pługa, przecinający piękno potworną blizną.

Chociaż wobec wgłębiania się żyły pod powierzchnię, trudność pracy rosła, kopacz znajdował jednak pociechę w równie rosnącem bogactwie prób. Dwa-

dziescia, trzydzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt centów — to wartość złota znajdowanego w poszczególnych patelniach. Wieczorem zaś Bill wypłukał swoją najbogatszą próbkę, która dała mu złota na cały dolar z jednej patelni piasku.

— Założyłbym się, że jakiś zbyt ciekawy gość nie omieszka odwiedzić tu mego pastwiska. Takie już moje szczęście! mruknął sennie, kiedy tego wieczora naciągał kołdry aż po brodę.

Nagle usiadł wyprostowany i ocucony. „Bill! — zawołał ostro — Słuchaj no mnie Bill, ty smyku jeden! Jutro od samego rana masz wyruszyć na zwiedzenie okolicy i zobaczyć wszystko, co widzieć należy. Zrozumiane? Jutro od samego rana! I nie waż mi się zapomnieć.

Ziewnął i spojrzał na zbocze. „Dobranoc, panie Mieszek!" — zawołał. Nazajutrz wyprzedził słońce, był już bowiem po śniadaniu, kiedy ono dopiero wschodziło. Wdrapał się na szczyt zbocza i pewnym krokiem ruszył przed siebie. Obejrzawszy okolicę ze szczytu, stwierdził, że znajduje się pośród zupełnej pustki. Jak daleko sięgnąć okiem, wzrastał jeden za drugim dziki łańcuch skał. We wschodniej stronie, oczy, przerzucając liczne mile pomiędzy licznymi grzbietami pasem górskich — odnalazły wreszcie pośród śnieżno - białej Sierry, łańcuch główny — kręgosłup świata Zachodu, górujący aż pod niebem. Ku południowi i ku północy widać było bardziej wyraźnie łańcuch ten, leżący niby krzyż pośród falistego morza skał. Ku zachodowi pasma malały jedne za drugiemi, kurcząc się w łagodne wzgórza, opadające wreszcie w rozległą równinę, niewidoczną już oczom.

Na całej tej niezmiernej połaci ziemi nie widać

jednak było człowieka, ani żadnego dzieła rąk ludzkich — prócz rozdartego łona wzgórza, tuż u stóp tego, który patrzał ze szczytu. Pomimo to, oglądał okolicę długo i starannie. W pewnej chwili zdawało mu się, że dostrzega w głębi własnego wąwozu lekką smugę ciemnego dymu. Przyjrzał się jednak uważnie i zdecydował, że to zwykła czerwonawa barwa wzgórza, — pociemniała w tem miejscu od cienia rzuconego przez ścianę kanjonu.

— Ej, ty! panie Mieszek! — krzyknął Bill z góry w głąb wąwozu. — Możesz mnie oczekiwać! Wracam!

Ciężko podkute buty czyniły Billa napozór niezgrabnym, pomimo to jednak zbiegł ze zbocza śmigle, niczem kozica. Odłamki skalne, strącone nogą w przepaść nie przerażały go bynajmniej. Zdawaćby się mogło, że wie doskonale kiedy potknięcie zamienić się może w katastrofę, tymczasem zaś wyzyskuje każdy krok ryzykowny dla tem lepszego wczepienia się w ziemię i utrzymania bezpieczeństwa.

W miejscach tak stromych, że niesposób było utrzymać się na nogach — Bill nie wahał się wcale. Dotykał nogą ową nieprzyjazną powierzchnię tylko przez drobną cząstkę fatalnej sekundy — zyskiwał jednak rozpęd. Jeśli zaś nawet owa część sekundy była wykluczona, przerzucał ciało w powietrzu, uchwyciwszy tylko ręką za gzyms skalny lub wystający korzeń drzewa. Wreszcie w dzikim skoku z niemniej dzikim krzykiem zmienił twardą ścianę skalną na ruchome usypisko piargów i sfiniszował swe zejście pośród licznych tonn spływającego w dół piasku i żwiru.

Pierwsza patelnia, przemyta dnia tego przyniosła czystego złota na dwa dolary. Pobrana była z samego środka „V". Po obu stronach tego punktu próby

dawały rezultaty znacznie uboższe. Linie dołów przecinające zbocze wpoprzek stawały się więc coraz krótsze. Ramiona odwróconego „V" odległe już były od siebie zaledwie o kilka yardów. Punkt zetknięcia nie mógł być również dalej niż o kilka yardów. Zato żyła złotonośna wsiąkała coraz głębiej w ziemię. Pod wieczór Bill musiał już sięgać o dobre pięć stóp pod powierzchnię, żeby odnaleść na patelni ślad złota.

Zresztą, ślad stał się teraz czemś więcej już niż śladem. Był już rodzimem złotem i człowiek zdecydował powrócić tu natychmiast, po odnalezieniu żyły głównej. Ale wciąż wzrastające bogactwo prób poczęło go intrygować. Późnym wieczorem wartość jednej patelni dosięgła trzech i czterech dolarów. Bill drapał się w głowę zmięszany, i spoglądał na to miejsce wzgórza, gdzie ponad krzakiem manzanity powinien był leżeć punkt spotkania ramion „V". Wreszcie pokiwał głową i zawyrokował:

— Jedno z dwojga, mój Billu, jedno z dwojga: albo imć Mieszek wyczerpał się cały koło podnóża góry, albo jest szelma tak piekielnie bogaty, że go całego nie zdołasz udźwignąć. To dopiero będą tortury, co? — Zachichotał, zwąchawszy ten wesoły problemat.

Noc zastała Billa nad brzegiem rzeczki. Walczył oczyma z gęstniejącą ciemnością, przepłukując pięciodolarową próbę.

— Eh! Żeby tak elektryczność! Robiłoby się do rana!

Trudno mu było zasnąć tej nocy. Układał się starannie i zamykał uparcie oczy, byle tylko przywołać sen; krew jednak płonęła zbyt ostrem pożądaniem.

Oczy otwierały się same i usta mruczały sennie: „Chciałbym, żeby już słońce wzeszło".

Sen zmorzył go wreszcie, ale pierwsza bladość gwiazd zbudziła odrazu. Kiedy poszarzał świt, Bill był już po śniadaniu i piął się po górskiem zboczu ku tajemniczemu miejscu przebywania imć Mieszka — władcy skarbów.

W pierwszej linji, jaką kopacz przecinać zaczął dnia tego, zmieściło się tylko trzy doły, tak wąskie stało się złotonośne pole i tak niedalekie było już źródlisko strumienia skarbów, tak uparcie od czterech dni poszukiwane.

— Spokojnie, Bill, spokojniutko — prawił samemu sobie — kiedy rozpoczął kopanie ostatniego dołu, tego, który miał się stać biegiem ramion zaklętego „V".

— Złapałem cię za łeb, panie Mieszku, teraz mi już nie zejdziesz — powtarzał po wiele razy, kopiąc coraz głębiej i głębiej.

Cztery stopy, pięć stóp, sześć stóp — człowiek wdzierał się coraz zawzięciej w sedno ziemi. Kopanie stało się coraz trudniejsze. Motyka drapała o skaliste podłoże. Człowiek przyjrzał się temu podłożu: „Głupi kwarc" — stwierdził, wydrapawszy łopatą z dna nieco ziemi. Zaatakował ostrzem łamliwy kwarc, po każdym ciosie odrzucając precz odłamki.

Wepchnął wreszcie łopatę w sypką masę. Oczy schwytały żółty błysk. Cisnął łopatę i nagle przypadł do ziemi. Jak rolnik otrząsa ziemię przyległą do świeżo kopanych kartofli, tak Bill, trzymając obu rękami bryłkę czystego kwarcu, ociosał go z piachu.

— Na głowę Sardanapala! — krzyknął. — Całe bryły! Całe bryły!!

To co trzymał w dłoni, do połowy było tylko kwarcem. Reszta, to czyste, nietknięte złoto, prawdziwy samorodek! Rzucił bryłę na patelnię i chwycił drugi kawałek. Widać było trochę żółtej barwy, ale po oczyszczeniu kwarcu okazało się, że obie ręce pełne są czystego, lśniącego złota. Zdzierał kwarc z wielu kawałków po kolei i układał je wszystkie na patelni. Były to naprawdę Skarby Sezamu. Kwarcu było mniej niż złota. Od czasu do czasu trafiały się nawet grudki zgoła kwarcem nieobrosłe — czysto złote. Jedna bryła, wyjęta z miejsca, gdzie pierwsze uderzenie żelaznego ostrza obnażyło serce złotej żyły — kryjówkę imć pana Mieszka — lśniła na dłoni jak klejnot. Człowiek zbliżył ku niej twarz i obracał powoli palcami we wszystkie strony, żeby nacieszyć się grą słońca na szlachetnym kruszcu.

— Co mi tu będą mówić o Klondiku albo Bonanzie! — warknął pogardliwie człowiek. — Wobec tej tu kopalni, tamte warte są ze trzydzieści centów! Tu jest szczere złoto! Toteż w tej oto chwili i w tym oto miejscu zowię wąwóz ten „Wąwozem Szczerozłotym"!

Wciąż jeszcze klęcząc, nie przestawał wyjmować grudkę po grudce, oglądać i rzucać na patelnię. Nagle, nieoczekiwanie nadeszło nań jakieś mgliste przeczucie niebezpieczeństwa. Jakby cień upadł w pobliżu. Ale cienia nie było. Serce Zdobywcy Skarbu skoczyło nagle ku gardłu i tłuc się poczęło niespokojnie. Potem krew ochłodła zwolna, a pot na koszuli stał zimny. Nie skoczył na równe nogi. Nie rozejrzał się wokoło. Nie ruszył się nawet. Zastanawiał się nad rodzajem ostrzeżenia, jakie otrzymał, starając się odnaleźć źródło tajemniczej siły przeczucia, walcząc o

ujrzenie natarczywej obecności owej niewidzialnej a niewątpliwie groźnej rzeczy. Zdarzenia i istoty wrogie niosą ze sobą atmosferę wrogości, którą odczuwa się nieznanym nam jeszcze sposobem, chociaż odczucie to zbyt subtelne jest dla zmysłów. Atmosferę tę poczuł człowiek, nie wiedząc jednak co czuje i czem czuje. Wiedział tylko, że jakaś chmura zasłoniła w tej chwili jakieś słońce. Dawało to wrażenie pomieszania i groźby. Zdawało się, że pomiędzy nim a życiem przesunęło się coś ciemnego, pochłonęło życie i wysunęło naprzód śmierć — jego śmierć własną.

Każda siła jego istoty pchała go do spojrzenia w ślepia niewidzialnemu niebezpieczeństwu, ale duszę ogarnęła mu paniczna trwoga, został więc skulony w złotej jamie, ściskając między palcami lśniącą grudkę. Nie ośmielał się rozejrzeć wokoło, ale wiedział dobrze, że coś obcego jest wokoło, coś wrogiego ponad nim. Wmawiał w siebie jednak, że zajęty jest wyłącznie bryłką trzymaną w ręku. Obracał ją zwolna, oglądał krytycznie, i oczyszczał z kwarcu. Lecz przez cały ten czas wiedział bezwątpienia, że coś poza nim spogląda z góry na złoto w jego dłoni.

Wciąż udając zajęcie złotem, nasłuchiwał jednak czujnie i wreszcie chwycić zdołał szelest oddechu ponad swoją głową. Oczyma poszukał broni przed sobą, ale zobaczył tylko złoto — bezwartościowe dlań już teraz, w tej chwili ostatecznej. Leżał tu coprawda drąg żelazny, mogący obronić w niejednej potrzebie. Tym razem jednak — inna to była potrzeba. Człowiek zrozumiał swoje fatalne położenie. Tkwił w dole na 7 stóp głębokim. Głowa nie sięgała nawet powierzchni zbocza. Siedział jak w pułapce.

Pozostał po dawnemu skulony, na piętach. Chło-

dny już był i opanowany, mózg jednak, zważywszy wszystkie czynniki, wskazywał mu tylko jego zupełną bezradność. Pozostawało tylko niezmącenie oczyszczać z kwarcu bryłki złota i rzucać je na patelnię. Cóż innego mógł uczynić? Pomimo to wiedział jednak, że prędzej czy później musi wstać i stawić czoło wrogowi, który oddycha tam w górze. Mijały chwile i Bill zdawał sobie sprawę, że z każdą mijającą chwilą bliższa staje się ta sekunda, kiedy trzeba będzie wstać, — albo też — jakże zimny stał się znowu pot na koszuli! — albo też przyjąć śmierć, padłszy twarzą w odkryty skarb.

Siedział wciąż jeszcze skulony, zdrapywał kwarc ze złota i rozmyślał, w jaki mianowicie sposób należy wstać. Czy nagłym rzutem wyskoczyć z dołu i cisnąć się prosto w twarz niebezpieczeństwu, nie myśląc już jakie jest mianowicie? Czy lepiej podnosić się zwolna i ostrożnie, i podpatrzyć dziwną istotę, oddychającą tak cicho tam ponad głową. Instynkt i każdy męski fibr jego istoty przemawiał za krótkim i nagłym skokiem. Rozsądek zato doradzał powolne i ostrożne spotkanie wroga, albowiem groźny jest a niewidzialny. Nagle, podczas tej jego walki z samym sobą — rozległ się suchy a głośny trzask. W tej samej sekundzie człowiek otrzymał przeszywająco bolesne uderzenie w lewą stronę pleców i poczuł jakby cios ognia poprzez ciało. Skoczył wysoko w powietrze i w tejże chwili opadł. Ciało skręciło mu się, niby liść od nagłego powiewu żaru. Padł piersią na patelnię pełną złota, twarzą w rozkopaną ziemię. Nogi pozostały skulone w ciasnocie dołu. Całem ciałem wstrząsnął potężny dreszcz. Płuca wciągały powietrze głęboko, poczem wydychać je poczęły powoli, powoli, bardzo

powoli. Równie powoli rozpłaszczyło się ciało w bezwład.

W górze, z rewolwerem w dłoni, pochylał się człowiek, spoglądając w głąb złotodajnej wyrwy. Patrzał długo na sztywne i bezwładne — tam w głębi — ciało. Po chwili obcy usiadł na brzegu jamy, tak, żeby móc w nią patrzeć i oparł rewolwer na kolanie. Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął kawałek bronzowego papieru. Wrzucił doń szczyptę tytoniu. Skręcił ciemnego, płaskiego papierosa o zawiniętych końcach. Nie odrywał ani na chwilę oczu od leżącego w wyrwie ciała. Zapalił wreszcie papierosa i wciągnął dym z rozkoszą. Palił powoli. Raz nawet papieros zgasł, więc zapalony został poraz drugi. Człowiek nie przestawał przyglądać się leżącemu ciału.

Wreszcie cisnął ogarek i wstał. Podszedł bliżej ku jamie. Oparłszy się rękoma na brzegach i rewolweru z prawej ręki nie puściwszy, zawisł nad dołem. Kiedy nogi znalazły się o yard ponad dnem, puścił ręce i zeskoczył.

W tej samej sekundzie kiedy nogi jego dotknęły dna, ujrzał wysuwające się ku sobie ramię leżącego człowieka. Ramię to podbiło mu nogi i przewróciło nagłym ruchem. W chwili skoku ręka z rewolwerem znalazła się, rzecz prosta, ponad głową. Jak tylko poczuł chwyt tamtego na swoich nogach — błyskawicznie zniżył rewolwer. Był jeszcze w powietrzu — kończąc skok — a już pociągnął za cyngiel. Strzał zabrzmiał ogłuszająco w wąskim dole ziemnym. Dym napełnił wyrwę, zasłaniając oczy. Napastnik padł nawznak, w tejże samej chwili kiedy podbito mu nogi. Człowiek, uważany za trupa, skoczył był na piersi, niczem kot W tejże chwili leżący raz jeszcze złożył prawą rękę

do strzału i niemal równocześnie Bill podbił jego pięść. Lufa skręciła w bok i kula wsiąkła w miękką ścianę ziemną.

W następnej chwili obcy poczuł, że ręka Billa pochwyciła i ściska przegub jego ręki. Rozpoczęła się walka o rewolwer. Każdy z nich obu probował skierować lufę ku ciału drugiego. Dym rozrzedził się nieco. Obcy, leżąc na plecach, poczynał już widzieć przez ulatującą mgłę. Nagle oślepiony został garścią ziemi, ciśnietej mu w oczy przez wroga. W chwili owego nagłego wstrząsu, ręka trzymająca rewolwer — zmiękła. W tejże sekundzie odczuł straszliwą ciemność opadającą na mózg i nagle pośród owej ciemności — nawet ciemność sama przestała istnieć.

Bill strzelał raz poraz, dopóki nie opróżnił rewolweru. Wtedy cisnął go precz, i ciężko dysząc, usiadł na nogach zabitego.

Z trudnością chwytał oddech przestrzeloną piersią. — Podły! — zachrypiał — idzie po moich śladach, czeka aż sam zrobię całą robotę, a potem wali mi w plecy!

Płakał prawie z gniewu i wycieńczenia. Przyjrzał się twarzy trupa. Zbrudzona była ziemią i trudna do rozpoznania.

— Nigdym go na oczy nie widział — ciągnął swe rozważania Bill. — Zwykły zbój, złodziej, kanalja. I prosto w plecy! W samiuteńkie plecy!

Rozpiął koszulę i ręką poszukał rany na plecach i na piersiach.

— Przeszła na czysto, chwalić Boga, nic strasznego! — zawołał niegłośno, ale wesoło. — Przysiągłbym, że celował dobrze. Ale widocznie podbił

broń, pociągając za cyngiel — osioł! Alem mu oddał! Oddałem bestji!

Palce szukały otworów po kuli i cień żalu zaćmił twarz. — Zaczyna boleć piekielnie — stwierdził. — Niema rady, trzeba się stąd zabierać.

Wypełznął ze swojej złotej wyrwy i ostrożnie zeszedł po zboczu do obozu. Po upływie pół godziny powrócił, prowadząc konia objuczonego tobołem. Rozpięta koszula ukazywała improwizowane bandaże ściskające ranę. Lewa ręka miała teraz powolne i pełne wysiłku ruchy, musiała jednak pomagać prawej.

Podłożenie linki pod ciało leżące w jamie umożliwiło Billowi wydobycie go nazewnątrz. Potem wziął się do roboty zbierania swego złota. Pracował uparcie kilka godzin, przerywając często dla dania odpoczynku rannemu ramieniu. Mruczał wtedy: — I mierzył w plecy, bestja! Mierzył w plecy!

Kiedy skarb został odczyszczony, zabrany i zawinięty bezpiecznie w gałgany i kołdry, Bill podsumował w myśli jego wartość.

— Cztery tysiące funtów, albom Hotentota! — zawyrokował. — Powiedzmy, że dwa tysiące w kwarcu i żwirze — pozostaje dwa tysiące w złocie. Bill! Obudź się człowiecze! Dwa tysiące funtów złota! Czterdzieści tysięcy dolarów! I to twoje — wszystko twoje!

Chwycił się za głowę z radości i nagle palce natrafiły wśród włosów na nieznajome wgłębienie. Zbadały owo wgłębienie na przestrzeni kilku centymetrów. Była to podłużna, płytka ranka na czaszce, wyorana przez drugą kulę.

Podszedł z gniewem do trupa.

— Będziesz kąsał, co? Będziesz? — warknął. —

Dobrze, w takim razie obezwładnię cię jeszcze lepiej i sprawię ci godny pogrzeb. Tybyś mi tego nie zrobił. Przyciągnął ciało ponad wyrwę i zepchnął je w głąb. Uderzyło głucho o dno, padając twarzą ku niebu. Bill spojrzał raz jeszcze w nieznajome rysy.

— Bezbronnego w plecy! — rzucił oskarżenie.

Łopatą zasypał dół. Potem naładował skarby na grzbiet konia. Ciężar to był dla jednego zwierzęcia zbyt wielki, więc w obozie Bill ujął mu część ładunku i przełożył na wierzchowca. Pomimo to porzucić tu musiał część swego ekwipunku — motykę, łopatę, patelnię, zbyteczną żywność, naczynia kuchenne i trochę rozmaitych drobiazgów podróżnych.

Słońce stało w zenicie, kiedy człowiek przeprowadził konie przez zieloną zasłonę pnączy. Wdrapując się na wielkie kamienie, zwierzęta musiały przedzierać się ślepo i z wysiłkiem poprzez skłębioną masę zieleni. Raz nawet wierzchowiec upadł, i człowiek musiał zdjąć na chwilę tobół, aby zwierzę mogło wstać. Kiedy wstało i znowu ruszyło w drogę, człowiek wysunął raz jeszcze głowę zpoza zielonej kotary, objął spojrzeniem wąwóz i zbocze.

— Bestja! — mruknął — i znikł.

Zadrżały, skłębiły się winorośla i pnącze. Gałęzie krzewów zafalowały wtył i naprzód, znacząc miejsce przedarcia się zwierząt. Podkowy klasnęły o kamienie, ostry dźwięk rozkazu przeciął ciszę. Po chwili głos ludzki wzniósł piosenkę — tę samą, którą powitał był Szczerozłoty Wąwóz.

Piosenka cichła w oddali. Wreszcie z pośród milczenia wyłonił się duch tego miejsca ziemi i zajął dawne swe królestwo. Strumyk znowu zagadał w półśnie; brzęk pszczół górskich odezwał się drzemiący

i jednotonny; w ciężkiem od aromatów powietrzu spływały teraz po dawnemu puszyste włókna bawełnianyh drzew. Motyle polatywać zaczęły tam i sam pośród gałęzi. Ponad wszystkiem zalśniło spokojne słońce.

Pozostały tylko ślady kopyt na miękkiej łączce i rozdarte zbocze, aby znaczyć sobą brutalny szlak życia, które zmąciło czar tego miejsca ziemi, by potem odejść, skąd przyszło.

Koloryt miejscowy.

— „Nie pojmuję dlaczego nie piszesz — powiedziałem. — Posiadasz wiele wiadomości, posiadasz także łatwość wypowiadania swych myśli. Twoim stylem jest —"

„Dość — dziennikarstwo". — przerwał grzecznie.

„Właśnie. Możesz zarobić ładny grosz".

W zamyśleniu splótł palce rąk i wzruszywszy ramionami, odrzucił:

„Próbowałem. Nie opłaca się".

„Drukowałem — dodał po chwili — ale za to honorowano mnie przez sześćdziesiąt dni w Hobo".

„Hobo?!" — przeraziłem się.

„Hobo",—szukając określenia, błądził oczyma po tytułach mego Spencera. „Hobo, mój drogi, jest to nazwa szczególnego miejsca przy więzieniach. Krótko — jest to koza, gdzie zamykają włóczęgów, pijaków, żebraków, wogóle wszelkie wyrzutki społeczeństwa. Słowo piękne, mające swoją historję. Pochodzi z francuskiego Hautbois. Haut — wysoki, bois — drzewa. Przeszło do angielszczyzny jako Hautboy — drewniany instrument muzyczny z podwójnej, zdaje

się, trzciny, o wysokich tonach, właściwy oboj. Pamiętasz z Henryka IV:

Futerał dźwięcznego oboju
Był domem dlań i dworem —

Od tej przeróbki do skrótu ho-boy jeden krok. Zwłaszcza, że anglicy lubią zmieniać słowa. Ale — zwróć uwagę na ten skok nagły jak paraliż, — po przebyciu Oceanu Zachodniego hautboy czy Ho-boy stało się w New Jorku przezwiskiem nocnych zamiataczy ulic. Możnaby sądzić, że zrodziło się to z pogardy dla wędrownych grajków i muzykusów. Ale na tem polega właśnie urok! Promień i piętno! Zamiatacz ulic, parjas, nędzarz, człowiek wzgardzony, człowiek bez kasty! W dalszym rozwoju słowo to przylgnęło do amerykańskich wykolejeńców — włóczęgów. Wówczas — jak inni kaleczyli treść tego słowa, tak trampi okaleczyli formę — i ho-boy zatryumfowało jako „Hobo". Włóczęga tak ochrzcił duże cele z kamienia lub cegieł, cele w których Prawo przywykło go zamykać. Ciekawe, nieprawdaż?"

Podziwiałem w skrytości ducha tego człowieka o encyklopedycznym umyśle. Leith Clay-Randolph, pospolity włóczęga, czuł się u mnie jak we własnym domu. Czarował każdego, kto się znalazł przy moim skromnym stole, pobijając wszystkich błyskotliwością mowy i wykwintem manier. Wydawał moje pieniądze, wypalał najlepsze cygara i stroił się w moje krawaty i spinki, wykazując znajomość rzeczy i dobry gust.

W roztargnieniu podszedł do bibljoteki i wziął Loria „Podstawy ekonomiczne społeczeństw".

„Lubię z tobą gawędzić — zauważył. Jesteś wcale nienajgorzej wykształcony. Oczytanie i ekonomi-

czne ujęcie historji znakomicie przygotowało cię do intelektualnego światopoglądu. Wnioski twoje socjologiczne są jednak fałszywe, gdyż nie posiadasz praktycznej znajomości życia. Ja zaś czytując książki — daruj — gruntowniej niż ty, znam także życie. Widzę je wszechstronnie i bez powijaków, w całej nagości, chwytam w obie ręce, biorę na ząb, ciało i krew jego. Będąc zaś ścisłym mózgowcem — nie daję się ponosić ani namiętnością, ani przesądom. To właśnie jest warunkiem poznania istoty życia — i tego ci właśnie brakuje.

Ach, co za pyszny urywek! Słuchaj —"

Czytał głośno we właściwy sobie sposób. Przeplatając tekst uwagami i komentarzami, wyjaśniał powikłane zdania i okresy. Każda myśl w jego oświetleniu stawała się jaśniejszą. Niedopowiedziane rozwijał, podkreślał sprzeczności, z paradoksów tworzył zwięźle i trwale sformułowane prawdy. Słowem — promieniował swoją inteligencją, ożywiając płomieniami natchnienia stronice dotychczas nudne, i ciężkie, i martwe.

Wiele już czasu upłynęło od chwili, kiedy Leith Clay-Randolph (zanotuj myślnik między nazwiskami) wild i owładnął sercem Gundy. Gunda zimna jak jej norweskie góry, bywając niekiedy w mniej mroźnym usposobieniu, pozwalała bardziej przystojnym włóczęgom siadywać na ganku kuchennym i pochłaniać wzgardzone skórki chleba i niezjedzone kotlety.

W chwilach takiego przypływu uczucia, spowodowanego najściem łachmaniarza na świętość kuchennego królestwa, Gunda, zajęta lokowaniem gościa w najcieplejszym kącie, zapominała o obiedzie. Wów-

czas Stokrotka biegła do kuchni, żeby zobaczyć co się święci.

Ach, ty Stokrotko, o miękkim serduszku! Leith Clay Raudolph oczarował ją w ciągu kilku minut, podczas, gdy ja siedziałem w błogiej zadumie, ćmiąc cygaro. Przyfrunęła wkrótce do mnie, mówiąc dużo i niewyraźnie o zniszczonem ubraniu, które jest już niepotrzebne i którego braku wcale nie zauważę.

„Napewno nie zauważę". Potwierdziłem, myśląc o ciemnoszarym garniturze z kieszeniami obdartemi przez książki, książki, które nieraz psuły mi zabawę w rybołóstwo.

„Radziłbym jednakże — dodałem — zreparować najpierw kieszenie".

Buzia Stokrotki wyciągnęła się.

„Nie, bąknęła. — to czarne —"

„Czarne! — zawołałem zdziwiony. „Przecież je noszę! Właśnie... właśnie chciałem je włożyć wieczorem i —"

„Masz dwa lepsze", — przerwała. „Wiesz, że tego ubrania nie lubię. No, i — ono już takie znoszone, świeci się..."

„Świeci?!"

„No, prawie — że już... Ale napewno nie długo będzie świeciło. Zobaczysz. A przytem, ten człowiek jest wart tego ubrania, — i jest miły, ogłodzony, i jestem pewna, że — " „ — pamięta lepsze czasy".

„Właśnie... Pozatem na dworze jest zimno i brzydko, a jego ubranie to same strzępy. Ty masz tak dużo ubrań —"

„Pięć — pomogłem — licząc ciemno - szare do rybołóstwa, te z obdartemi kieszeniami",

„On zaś niema żadnego, ani domu, ani —" „— nawet Stokrotki" — i z tego powodu zasługuje na wszystko. Daj mu czarne ubranie, najlepsze, to najlepsze. Taki brak musi przecież niebo wynagrodzić".

„Jakiś ty miły". — I Stokrotka pobiegła ku drzwiom, rzucając mi obiecujące spojrzenie. „Jakiś ty strasznie miły".

Mówiła to po siedmiu latach małżeństwa. Stałem więc i dziwiłem się, dopóki nie wróciła, nieśmiała i przepraszająca.

„Dałam... także... jedną z twoich białych koszul. Miał na sobie okropną, podartą, bawełnianą. Wyglądałoby to śmiesznie przy czarnym ubraniu. Jego buty też są mocno zdarte, więc — dałam te stare z wąskiemi kapkami".

„Stare!"

„W każdym razie — są czarne. Wiesz zresztą sam —"

W ten sposób Stokrotka zawsze miała rację.

Leith Clay Raudolph rozgościł się w Idlewild — anim myślał na jak długo. Nie przypuszczałem również, że będzie wracał tak często, jak wędrowna kometa. Przybywał czasem świeży i porządnie ubrany przez przyjaciół (takich jak ja). Kiedyindziej wlókł się ścieżką zmęczony i wynędzniały, uchodząc z Montana lub Meksyku. Wkrótce porwany przez „Wanderlust" bez słowa pożegnania wracał na tajemnicze tory głębokiego świata, na „szlak", jak mówił.

„Nie mogę odejść bez podziękowania za hojną rękę i otwarte serce", — powiedział do mnie tego wieczoru, kiedy włożył mój dobry czarny garnitur. Przyznaję, byłem nieco zaskoczony, ujrzawszy z nad

gazety wysokie czoło poważnego pana, zbliżające się śmiało i swobodnie. Stokrotka miała rację. Musi mieć lepsze czasy — czarne ubranie i biała koszu trafiły należycie. Mimowoli powstałem — by pow tać. Wtedy to urok Leith Clay-Randolpha padł mnie. Spał tej nocy w Ildewild, następnej także. N cy takich było wiele.

Każdy musiał pokochać tego człowieka. Syn mój, Rufus modrooki, pospolicie zwany jako Tots, uganiał się z nim po ścieżkach ogrodu i wśród gęstych drzew sadu podczas sianokosu z dzikiemi wrzaskami zdzierał zeń skalpy, a raz w natchnionym zapale omal nie ukrzyżował go na belce strychu. Stokrotka kochałaby go przez wzgląd na syna, gdyby nie kochała niezależnie od tego. Co do mnie, niech zaświadczy Stokrotka, często pytałem niecierpliwie, podczas jego nieobecności — kiedy Leith, miły Leith powróci.

Nie wiedzieliśmy o nim nic. Poza faktem, że się urodził w Kentucky, życie jego minione było jak biała karta. Nigdy o przeszłości nie mówił. Być może dla tego, że — jak to określał, rozwiódł rozum z uczuciem, z czego był wielce dumny. Świat istniał dla niego jako splot problemów. Raz, jak mi się zdawało, przyłapałem go na gorącym uczynku jakiegoś uczucia, kiedy szalał z uciechy, biegając z Rufusem „na barana".

„Wcale nie" — odpowiedział. — Czyż nie można przygarnąć kogoś do piersi z uczuciem radości jedynie dla stworzenia sobie pewnego zagadnienia, problemu?

Był nieuchwytny. Mieszał niespotykany żargon z wielosylabami i technicznemi wyrazami. Zdawał się być czasami zdecydowanym kryminalistą — w mo-

wie, ruchach, wyrazie twarzy, sposobie bycia. Kiedyndziej kulturalnym i polerowanym światowcem, to nów filozofem lub uczonym. Objawiało się w nim zasem coś, czego nigdy nie mogłem pojąć. Przebyki szczerości, czy też, jak przypuszczałem, prawdziwego uczucia, które znikało nim je zdążyłem uchwycić. Niby echo kogoś, kto ongiś był lub może cień istoty, kryjącej oblicze pod maską. Maski tej nie uchylał wszakże i prawdziwego człowieka nie poznaliśmy nigdy.

„Wróćmy do twej przygody w Hobo, — przypomniałem — rzuć książkę i opowiadaj".

„Skoro chcesz". — Zaśmiał się krótko, zakładając nogę na nogę.

„W pięknem i rozkosznem mieście, mniejsza o nazwę, gdzie mężczyźni harują dla zdobycia dolarów, a kobiety dla stroju — nawiedziła mnie piękna idea.

Wygląd miałem wówczas dość znośny, kieszenie zaś puste — jak to czasem bywa. Trzeba zaznaczyć, że przypomniała mi się wówczas właśnie pewna myśl o pojednaniu Kanta ze Spencerem. Oczywiście, chodziło mi o satyrę na naukowość".

Trzepnąłem niecierpliwie ręką.

„Podkreśliłem mój stan myślowy, żebyś mógł łatwiej zrozumieć genezę i tło tej przygody" — wyjaśnił łagodnie.

Tak czy owak — myśl przeszła: napisać szkic z życia włóczęgi, dajmy na to dla jakiejś gazety. O niemożliwości, dajmy na to pogodzenia włóczęgi z policjantem. Przeszkód żadnych przecież być nie mogło.

Wyszedłem na ulicę i odnalazłem pewny górny i chmurny lokal czyli biuro dziennika. Winda wyrzu-

ciła mnie pod niebo, gdzie Cerber, w postaci anemicznego chłopca, strzegł wejścia. Suchoty widoczne były na pierwszy rzut oka, pozatem: irlandzka zuchwałość, zaciekły upór i — śmierć w ciągu roku.

„Blady młodzieńcze" — rzekłem — „wskaż mi drogę do sanctum - sanetorum, do najwyższego Cock a-lorum".

Spojrzał pogardliwie, nie uroniwszy nic z wyrazu nieskończonego nudy czy znużenia.

„Proszę zwrócić się do woźnego".

„Chodzi mi liljo biała, o redaktora — gdzie redaktor?

„Który? — szczeknął jak młody psiak. Dramatyczny? Sportowy? Życia towarzyskiego? Świąteczny? Tygodniowy? Dzienny? Telegraficzny? Miejscowy? Nowości? Naczelny? Który?

Który — nie wiedziałem.

„Redaktor" — obwieściłem twardo. „Tylko redaktor".

„Pan Spargo". — mruknął.

„Naturalnie pan Spargo — upewniłem. — Któżby inny?"

„Pański bilet" — wycedził.

„Mój — co?"

„Bilet — mówię wyraźnie. Jaka sprawa?" — Mikrus zmierzył mnie oczyma tak bezczelnie, że chwyciwszy go za kark uniosłem go z krzesła. Stuknąłem w chudą pierś, ozwał się zduszonym kaszlem, ale nie mrugnął nawet okiem. Podobny był do czupurnego wróbla w garści.

„Jestem wysłannikiem śmierci" — zaryczałem grobowym głosem. — „Strzeż się, bym nie opukał cię mocniej".

„Furda" — drwił.

Ścisnąłem mocniej, począł się dusić i zzieleniał.

„Czego pan chcesz?" — wyharczał, z trudem łapiąc powietrze.

„Chcę widzieć pana Spargo — tylko pana Spargo".

„Puść pan, zamelduję..."

„O nie, moja lilijko" — mocniej ująłem go za kołnierz.

„Nie kręć, uważasz. Idziemy razem" —

Leith w zamyśleniu przyglądał się stożkowi popiołu swego cygara. Po chwili zwrócił się do mnie.

„Myślę, że nie rozumiesz radości, jaką daje robienie z siebie błazna. Myślę, że nie rozumiesz pobudek ani sytuacji, z jakich to wynika. Nie rozumiesz nawet gdybyś chciał. Twoje małe i nędzne konwenanse, napuszona powaga i zrozumiała obyczajność, żądająca zadowolenia zawsze i wszędzie — nie dopuszczą do tego nigdy. Nie wyobrażam sobie, abyś mógł uznać w swojej duszy dziwactwo nastroju, usposobienia czy myśli. Żeby grać błazna bez względu na rezultat, trzeba być człowiekiem innym, niż obywatel, szanujący prawo, opinję, obyczaje i t. d.

Otóż — widziałem się z panem Spargo. Była to osobistość wielka jak wół, o twarzy czerwonej, wydętych policzkach i obwisłym podbródku. Siedział przy pulpicie w koszuli, zlany potem. (Był sierpień, jak wiesz). Kiedy wszedłem, rozmawiał—raczej klął przez telefon. Nie przeszkodziło mu to wpatrywać się we mnie świdrującemi oczyma.

Powiesił słuchawkę i zwrócił się ku mnie wyczekująco.

„Jest pan człowiekiem bardzo zajętym" — po wiedziałem.

Potwierdził krótkim skinieniem głowy.

„Czy to warto? — ciągnąłem. „Jesteś pan spo cony. Czy pańska praca ma aż tak wielki sens, ż usprawiedliwia to? Proszę spojrzeć z kolei na mnie „Ani nie orzą, ani nie przędą..."

„Kto pan jesteś? Co pan jesteś?" krzyknął gwałtownie. Głos miał podobny do psa, wydzierającego kość.

„Pytanie bardzo właściwe" — przyznałem. „Po pierwsze jestem człowiekiem. Po drugie — wydziedziczonym obywatelem amerykańskim. Dalej nie jestem zhańbiony żadną profesją, zawodem czy fachem. Nie ciąży na mnie nadzieja spadku. Jak Ezaf po tranzakcji jestem już bez soczewicy. Moim domem — cały świat. Jestem jednym z wyrzutków, sankiulota proletarjusz. Słowem — aby panu ułatwić zrozumienie — włóczęga".

„Do wszystkich djabłów!"

„Włóczęga, miły panie, prosto z manowców, zbłąkany na bezdrożach życia —"

„Dosyć, stul pysk — krzyknął. — Czego chcesz?"

„Pieniędzy!"

Szybki ruch ręką, jakby chciał sięgnąć do szuflady, gdzie musiał być rewolwer. Opanował się i warknął:

„Tu nie bank".

„Ja nie posiadam czeku do wymiany. Ale mam myśl, którą przy pańskiem łaskawem poparciu, mógłbym zmienić na gotówkę. Krótko: co pan powie o szkicu z życia włóczęgi, napisanym przez prawdziwego włóczęgę? Wydrukuje pan? Czy pańscy czytelnicy

lubią coś podobnego? Czy tego pragną? Czy bez tego mogą być szczęśliwi?"

Przez chwilę myślałem, że zabije go apopleksja. Ujawnił jednak pęd krwi i oświadczył, że moja zuchwałość podoba się jemu. Podziękowałem, zapewniając o wzajemności. Ofiarował mi cygaro, wyrażając chęć ubicia interesu.

„Ale uważaj pan — mówił, pakując mi do rąk ibrę papieru i ołówek. Uważaj, nie chodzi o głęboką filozofję — dostrzegam w panu skłonność w tym kierunku. Odmaluj koloryt miejscowy, śmiałemi szerokiemi rzutami. Może być trochę sentymentu — bez wycieczek w dziedziny ekonomji politycznej czy socjologji. Precz z podobnemi bzdurami. Pisz krótko, węzłowato, do rzeczy, z pieprzem, z życiem, dobitnie interesująco. Kapujesz!

Kapowałem — i pożyczyłem dolara.

„A nie zapomnij o kolorycie miejscowym" — krzyczał jeszcze z za drzwi.

Właśnie, Anaku, ten koloryt miejscowy mnie dobił.

Anemiczny cerber wyszczerzył zęby, kiedy wsiadłem do windy.

„Dostałeś kopniaka, co?"

„Nie, blady młodzieńcze" — pokazałem papier. Nie dostałem kopniaka. Poczekaj, brzdącu, za trzy miesiące zostanę redaktorem — dam ci wówczas szkołę!"

Winda zatrzymała się o piętro niżej dla zabrania wychodzących dziewczyn — mały wychylił się z klatki schodowej i posłał mnie wprost do piekła. Polubiłem go. Był zuchwały, chociaż wiedział równie dobrze jak i ja, że szpony śmierci są blisko.

„Ale jak mogłeś, Leith", — krzyknąłem, wstrząśnięty obrazem chorego — jak mogłeś traktować go w tak barbarzyński sposób?"

Leith zaśmiał się sucho. „Mój drogi, jakże często będę musiał wyjaśniać ci twoje niedorzeczności? Opanowały cię zupełnie przestarzałe sentymenty i uczucia. Przy tem ten twój temperament! Istotnie nie jesteś zdolny do racjonalnego myślenia. Cerber! Blask niknący, pyłek zagasłej iskry, słabo pulsujące tętno krwi. Nikły powiew. Pionek w grze życia. Nawet nie zagadnienie. — Tak jak niema problemu w poronionym zarodku lub w zmarłem niemowlęciu. — One nie istniały. Cerber — także nie istnieje. Właśnie przychodzi mi na myśl ciekawe zagadnienie —"

„Ale cóż ten koloryt? — skierowałem rozmowę na właściwe tory.

„Racja" — zgodził się. Trzymaj mnie w cuglach. Więc — z papierem w garści udałem się na stację (właśnie dla kolorytu miejscowego). Ulokowałem się na stopniach wozu i zwiesiwszy nogi, zatopiłem się z nosem w pisaninie. Oczywiście pisałem ze zwykłą swoją swadą i błyskotliwością. Atakowałem ostro państwowość i tworzyłem paradoksy o społecznem życiu. Jednocześnie starałem się usilnie wywołać niezadowolenie zwyczajnego, przeciętnego obywatela. Z punktu widzenia włóczęgi, policyjność miejskiego życia wygląda szczególnie zgnile. Postanowiłem więc otworzyć oczy szczęśliwszej części ludzi.

Matematycznie da się dowieść, że społeczeństwo wydaje więcej na areszty, sądy i trzymanie włóczęgów w więzieniu — niż kosztowałoby wysłanie ich na takież okresy czasu do najlepszych hoteli jako gości. Rozwiązałem to twierdzenie, dając fakty i liczby żoł-

du policjantów, transportu więźniów, wydatków na procesy, więzienia i t. d. Prawda tych dowodzeń była druzgocząca. Pisałem nieco humorystycznie, sposobem, który wywoływał uśmiech i zostawiał żądło. Główna wada obecnego systemu, utrzymywałem, polega na okradaniu i krzywdzeniu włóczęgi. Pieniądze, jakie społeczeństwo płaci, wystarczyć powinny na istnienie w zbytkach zamiast gnicia w lochach. Liczby dowodziły z całą ścisłością, że włóczęga nietylko mógłby mieszkać w najlepszych hotelach, ale nawet wypalać po dwa drogie cygara codzień i codzień za 10 centów kazać czyścić sobie buty. Wszystko to wyniosłoby mniej niż podatki ściągane na więzienia. Dalszy wypadki udowodniły, że trafiłem w sedno, bowiem wkrótce podatnicy poczęli się burzyć.

Jednego z policjantów narysowałem jak żywego. Nie omieszkałem, oczywiście, opisać Sol Glenharta, najobrzydliwszego z pośród sędziów dzielnicowych, istniejących między morzami. Poznałem jego zalety z własnego ciężkiego doświadczenia. Miał on, rzecz prosta, złą sławę wśród włóczęgów. Myślę jednak, że gdyby obywatele miasta mieli oczy otwarte, nieco oleju w głowie i znali jego nieprzebrane grzechy tego człowieka — nie znieśliby jego obecności ani przez jedną krótką chwilę. Naturalnie, nie wymieniałem nazwisk ani nazw. Tworzyłem obrazy ogólne, unikając rysów zbyt wyraźnych, lub osobistych. Nie zaciemniło to bynajmniej przejrzystości charakterystyki.

Rzecz jasna, będąc włóczęgą, wyzyskałem artykuł głównie w celu jaknajsilniejszego protestu przeciwko maltretowaniu włóczęgów. Raniąc obywateli, do głębi kieszeni, usiłowałem trafić do ich serc. Zabarwiłem więc w końcu artykuł sentymentem. Wierz

mi, zrobiłem to doskonale i z krasomóstwem. Posłuchaj zakończenia:

„Więc kiedy chyłkiem skradamy się wzdłuż ciemnych i zimnych ulic, łapiąc oczyma — czy gdzie nie czai się John Law *), nie możemy zapomnieć ani na chwilę, że jesteśmy wyrzutkami, drogi zaś nasze nie są drogami reszty ludzkości.

Biedne opuszczone dusze skamlą w ciemności o nędzny kawałek chleba. Znamy naszą bezradność i spodlenie! Możemy powtórzyć za nieszczęsnym bratem z za morza: „Naszą dumą jest nie znać ostrogi dumy!" Ludzkość zapomniała o nas, zapomniał o nas Bóg! Pamiętają jedynie harpje sprawiedliwości, które żerują na niedoli biednych, zamieniając łzy i westchnienia na błyszczące i dźwięczne dolary.

Nawiasem mówiąc portret sędziego Sol Glenharta był dobry. Uderzające podobieństwo i doskonałość odtworzenia kryła się w soczystych określeniach jak: „krzywonosa i grubocielska harpja, społeczny zbir, zbój prawa z szerokiej drogi"; „istota o moralności szulera, o honorze, który w porównaniu z honorem złodzieja jest bezwstydem". „Człowiek zamykający oczy na przestępstwa lichwiarskich rekinów a wysyłający — dla pokuty widocznie! — ubogich i nieszczęśliwych do zgniłych cel". I tak dalej w stylu studenta z drugiego kursu piszącego wypracowanie na temat: „Wartości dodatkowe" lub „Omyłki Marxismu". Ale tak jak kochana publiczka lubi.

„Hm. — Chrząknął Spargo, kiedy oddałem rękopis. „Szybko pan biegasz, mój panie".

W odpowiedzi cisnąłem hypnotyczne spojrzenie

*) Law — po ang. Prawo (przyp. tłom.).

w kierunku kieszonki kamizelki, gdzie nosił doskonałe cygara. Zapaliłem jedno z nich, podczas gdy przeglądał artykuł. Parokrotnie spojrzał ku mnie badawczo z za rękopisu, ale nic nie powiedział.

„Przyznaj się, gdzieś próbował pióra?" — zapytał. „Tu dopiero utraciłem dziewictwo" — wdzięczyłem się skromnie, szurgając nogą i udając zawstydzenie.

„Ładna mi dziewiczość! No, ale jaką pan chcesz gażę?"

„Nie, nie, — pośpieszyłem z zawstydzeniem, — dziękuję za gażę, dziękuję aż do śmierci. Jestem wolny choć podeptany obywatel amerykański i nie powie nikt, że mój czas jest do wynajęcia".

„Prócz Johna Law", — warknął.

„Prócz Johna Law", — powtórzyłem.

„Skąd pan wiesz, że jestem w wojnie z policją?— zapytał nagle.

„Nie wiedziałem, że jest pan w wojnie, ale wiem, że musi pan rozpocząć wojnę, — wyjaśniłem.

„Wczoraj zrana miłosiernie usposobiona niewiasta ofiarowała mi parę biszkoptów, kawałek sera i trochę czekolady. Wszystko było zawinięte w numer „Clarionu", w którym stwierdziłem szatańską radość, ponieważ kandydat „Cowbella" na szefa policji — przepadł. Dowiedziałem się też, że nadchodzą wybory do rad miejskich. Zestawiłem jedno z drugim. Wybór nowego prezydenta miasta — to przecie nowi komisarze policji. Nowi komisarze — to znaczy nowy szef policji, nowy szef policji to — kandydat „Cowbella". Ergo, pańska kolej".

Redaktor wstał, chwycił mnie za rękę i wyłożył

w nią wszystkie cygara z kieszonki kamizelki. Schowałem i paliłem dalej poprzednie.

„Spadłeś mi z nieba — wołał w uniesieniu. — To (uderzając w rękopis) jest pierwsze działo, jakie wytoczymy w tej bitwie. Przyłożysz lont do wielu innych zanim skończymy. Od lat wyczekiwałem pana. Proponuję panu wejście w skład redakcji".

Nie zgadzałem się.

„Chodź — nacierał coraz ostrzej. Nie droż się. „Cowbell" musi cię mieć. Jest głodny ciebie, pragnie ciebie, nie będzie szczęśliwy bez ciebie. No, zgoda?"

Usiłował namówić mnie, niemal zmuszał. Pozostałem zimny jak głaz. W końcu Spargo się zniechęcił.

„Pamiętaj — mówił — jeżeli się namyślisz, zawsze drzwi moje są dla ciebie otwarte. Gdziekolwiek będziesz, depeszuj, przyślę natychmiast monety".

Podziękowałem i zapytałem o należność za oddany rękopis.

„O, to jest ustalone, — wyjaśnił. — Otrzymasz w pierwszy wtorek po wydrukowaniu".

„Wobec tego muszę prosić o parę groszy aż" — Patrzył na mnie i śmiał się. „Wolałbyś bym ci wypluł wszystko od razu, co?"

„Pewnie—odparłem. Przytem nikt nie potrafi stwierdzić mojej tożsamości, najlepiej tedy gotówką".

I była gotówka. Całe 30 blatów (blat to dolar, drogi Anaku). Nadałem siebie na bagaż. Co?... nie rozumiesz. Oddaliłem się".

„Blady młodzieńcze, — przywitałem po chwili Cerbera — zostałem kopnięty (wyszczerzył zęby z radości). I na znak szczególnego szacunku ofiaruję ci to małe... (oczy jego błysnęły widocznie w oczeki-

waniu uderzenia po łbie, zasłonił się szybko ręką) memento".

Zamierzałem wsunąć mu w łapę 5 dolarów, alem nie zdążył, tak szybko cofnął rękę.

„Zabierz swoje śmiecie", — warknął przez zęby.

„Lubię cię jeszcze więcej — rzekłem, dodając drugą pięcio-dolarówkę. Stajesz się doskonałością. Musisz to jednak wziąć".

Cofnął się, zgrzytając zębami. Objąłem go mocno i ścisnąłem, tak, że wypuścił ostatnią parę. Zostawiłem zgiętego wpół z dwiema pięciodolarówkami w kieszeni.

Ledwo winda ruszyła, dwie monety brzęknęły o dach i wpadły pomiędzy pudło windy a ściankę. Miałem szczęście, drzwi nie były jeszcze zamknięte, wyciągnąłem rękę i chwyciłem pieniądze w locie. Windziarz otworzył usta ze zdumienia.

„To mój zwyczaj — powiedziałem, chowając pieniądze do kieszeni.

„Jakiś dureń zgubił" — wybełkotał ogłupiały.

„Ma się rozumieć".

„Ja zwrócę — zaofiarował się.

„Głupstwo!"

„Radzę ci oddać — groził — bo zatrzymam windę".

„Oho!"

Stanął istotnie pomiędzy piętrami.

„Młodzieńcze — spytałem — czy masz matkę? (Spoważniał, jakby żałując swego postępku. Ażeby go dobić, zacząłem odwijać z wielką starannością rękawy koszuli) — „Czy jesteś przygotowany na śmierć?" (schylając się kocim ruchem, wysunąłem nogę naprzód). Tylko chwila, krótka chwila stoi mię-

dzy tobą a wiecznością" (wyciągnąłem przed siebie rękę na podobieństwo łapy z pazurami i zwolna podciągałem drugą nogę). „Młodzieńcze, młodzieńcze" — trąbiłem — „za 30 sekund wydrę ociekające krwią serce z twej piersi i będę słyszał twoje wrzaski w piekle".

To go zwyciężyło. Krzyknął, winda spadła, jak strzała. Znalazłem się na ulicy.

Widzisz, Anaku, mam przykry zwyczaj zostawiania po za sobą żywej pamięci. Każdy, kto się ze mną zetknie, długo mnie nie zapomni!

Nie zdążyłem dojść do rogu ulicy, jak usłyszałem za sobą wołanie:

„Halo, Żużel, dokąd to?"

Był to Chi Him, wyrzucony razem ze mną na Jacksonwille.

„Kiedyś zdarzyło się, żem się ukrył za żużle" — tłomaczył Raudolph — „i ta monika przylgnęła do mnie. — Monika? Od monos. Przezwisko włóczęgowskie".

„Kierunek południe" — odpowiedziałem, witając.

„Jak się masz Alim".

„Eh, sałata. Byki biorą mnie za rogi".

„Gdzież jest dywersja?"

„U siebie. Jeżeli chcesz dodam ci rozumu".

„Dobrze, a kto największy cudak?"

„Ja. I radzę nie zapominać o tem".

Par force przerwałem Leith'owi ten dziwaczny żargon.

„Mów jaśniej, wyraźniej. Pamiętaj, że w tej sferze jestem cudzoziemcem".

„Zapewne — zgodził się ochoczo. — Więc słu-

chaj. Him stwierdził przedewszystkiem, że powodzi mu się kiepsko, oraz, że dybie na niego policja. (Byk znaczy policjant). Ja zapytałem gdzie jest w tej chwili banda, z którą się włóczy. „Dodać rozumu" znaczy skierować do obozu zgrai, „Największy cudak" — to przywódca. Tym razem zaszczyt ten, uważasz, spotkał Hima.

Posłuchaj dalej:

Udałem się z Himem za miasto, do lasu, gdzie banda, złożona z dwudziestu kiepskich Hobo, obozowała nad brzegiem rozkosznie szemrzącego strumienia.

„Wstawać, mordy — zwrócił się do nich uprzejmie Him. „Ruszaj żwawo jeden z drugim. Przywitać Żużla".

Był to znak dla wszystkich, że mają rozbiec się po okolicy, żeby wyżebrać wszystko co potrzebne dla uczczenia mego powrotu do rodzinnej zagrody po całorocznem obijaniu boków. Błysnąłem monetą i Him odkomenderował kilku młodszych po zakup wódeczności. Wierz memu słowu, Anaku, była to pamiętna pośród wagabundów bomblerka.

Zadziwiającą ilość chlania można kupić za 30 blatów i nie mniej zadziwiającą ilość może wychlać dwudziestu moczymordów. Głównie piwo i tanie wino wypełniło naszą kartę.

O! Było to wielkie, powiadam ci, ta orgja pod modrem niebem, te zawody o puhar! Istne studjum prymitywności i bestjalizmu. Jest coś fascynującego w pijanym człowieku i doprawdy gdybym był rektorem jakiej wszechnicy, stworzyłbym psychologiczny kurs praktycznego pijaństwa. Zbladły by wobec tego książki i laboratorja!

Mniejsza z tem, zresztą. Następnego ranka po 16-godzinnej libacji cała banda została nakryta przez liczny oddział policji i odstawiona do kozy. Po „śniadaniu", około dziesiątej, sflaczali i bez ducha, uszeregowaliśmy się na piętrze, gdzie pod fioletowym baldachimem siedział Sol Glenhard z garbatym jak napoleoński orzeł nosem i z błyszczącemi jak paciorki oczyma.

„John Ambrose!" — Zawołał pisarz i Chi Him z wprawą, świadczącą o długiej praktyce — wstał.

„Włóczęga, wasza miłość", objaśnił woźny i jego miłość, nie raczywszy spojrzeć na delikwenta, rzuciła „dziesięć dni" i Chi Him — usiadł.

I tak dalej jak mechanizm zegara, piętnaście sekund na człowieka, czterech na minutę — mordy migały w górę i na dół jak kukły w teatrze marjonetek. Pisarz wywoływał, woźny wymieniał przestępstwo, sędzia wyrokował — człowiek siadał. Oto wszystko.

Proste, co? Wspaniałe!

Chi Him trącił mnie lekko łokciem.

„Zakręć mu gitarę czem bądź, umiesz przecie".

Wątpiłem.

„Dalej, naglił. Wymyśl jaką bujdę. Te pyski wszystkiemu uwierzą. A ty wyszperasz dla nas tytoniu dopóki nie wypłyniemy z przerębli".

„Leith Clay - Raudolph — krzyknął pisarz. Wstałem. W mechaniźmie postępowania sądowego coś się popsuło i pisarz szeptał do sędziego, woźny chichotał w kułak.

„Jesteś pan dziennikarzem, jeżeli się nie mylę, panie Raudolph? — kawęczyła słodko jego miłość.

Byłem zaskoczony, albowiem w podnieceniu szybko mknących wypadków zapomniałem na śmierć

o „Cowbellu". Ujrzałem się teraz na brzegu przepaści, wykopanej własnemi rękoma.

„Zahacz się o los, kiej ci w łapę lizie. Jazda, brykaj, pało — szeptał gorączkowo Him.

„Już po krzyku, kaput, — jęknąłem za siebie, ale Him nie wiedzący nic o artykule, szeroko otworzył oczy.

„Wasza miłość, odpowiedziałem wymijająco na pytanie sędziego. „Jest to o tyle mojem zajęciem, o ile dostaję obstalunek".

„Interesuje się pan, jak widzę, miejscowemi sprawami (tu jego miłość wzięła poranny „Cowbell" i przebiegła oczyma z góry na dół kolumnę, przysiągłbym, że moją). Koloryt jest dobry, — ocenił z uznaniem, — portrety wspaniałe, charakteryzowane szerokimi, w rodzaju Sargenta, rzutami. Teraz ten... ten sędzia, którego pan opisał — pan rysuje z natury, nie prawdaż?"

„Nie zawsze, wasza miłość, — usiłowałem wymknąć się z matni. „Kompozycje raczej abstrakcyjne... hm... typy ogólne, mogę powiedzieć".

„Ale koloryt pan posiada, nieomylny, doskonały koloryt".

„N-no tak, dodany... potem" — wyjaśniałem.

„Więc ten sędzia nie jest z życia wzięty, jak należy wnioskować z tego co pan — ?"

„Nie, wasza miłość".

„Aha, rozumiem, tylko typ sędziowskiej doskonałości".

„Owszem, więcej, wasza miłość — odpowiedziałem śmiało. — Bo ideał takowej".

„Skropiony później kolorytem lokalnym? Ha,

dobrze! Czy mogę zapytać — ile pan dostał za tę pracę?"

„30 dolarów, wasza miłość".

„Hm, dobrze". Ton jego nagle się zmienił.

„Młody panie, miejscowy koloryt jest złą sprawą. Uznaję pana winnym i skazuję na 30 dni aresztu, czy — jak pan woli — na grzywnę 30 dolarów".

„Niestety — rzekłem — wydałem je na hulankę z przyjaciółmi.

„Wobec tego 30 dni dodatkowo za marnotrawstwo pieniędzy. Następny!" — zwróciła się jego miłość do pisania.

Him osłupiał. „S-sy" — syczał. „S-sy". Cała dywersja po dziesięć dni a ten sześćdziesiąt! „S-sy..."

Leith potarł zapałką o pudełko, zapalając zgasłe cygaro, poczem otworzył książkę, leżącą na kolanach. „Wracając do przedmiotu, nie znajdujesz, Anaku, że chociaż Loria manipuluje dwudzielnością dochodów ze skrupulatną starannością, opuszcza przecież jeden niezmiernie ważny czynnik. Mianowicie —"

„Tak, tak, odrzekłem w roztargnieniu, — tak, tak".

Przedstawienie amatorskie.

Mały windziarz uśmiechnął się znacząco. Kiedy wiózł ją w górę, zauważył błyski w oczach i rumieniec na twarzy. Mała jego klatka ogrzała się żarem tłumionego podniecenia. Teraz, w chwili powrotu, atmosfera stała się lodowa. Błyski i rumieńce znikły. Dziewczyna była chmurna, pod kapeluszem błyszczały oczy zimne, stalowo-szare. Mały znał te objawy, o, znał. Był obserwatorem i nadto dobrze rozumiał co tu ludzie przeżywają. Z czasem kiedy urośnie już dość duży — zostanie z pewnością reporterem. Do tego czasu będzie studjować życie, biegnące w górę i na dół ośmnastowego drapacza niebios.

Współczująco rozsunął drzwiczki kabiny i śledził lekki krok, jakim z determinacją wyszła na ulicę.

W zachowaniu i postawie dziewczyny czaiła się krzepkość czy rzeźkość, wyrosła raczej z miekkiej ziemi, niż z chodników miasta. Była to krzepkość o wyrazie sybtelnym, pełna energji i wykwintu. Sprawiała wrażenie, pewnej męskości bez ujmy jednak dla cech kobiecych. Świadczyć mogła o pochodzeniu od walecznych pionierów, umiejących dzielnie radzić głową i rękoma. Widma przodków, wyłonione z mglistej przeszłości, uformowały duszę i ciało kobiety. Z

krzepkości i zdrowia wyrosła w niej nieustanna i wytrwała przedsiębiorczość.

W tej chwili jednak zasłonił wszystko gniew. Gniew za niezasłużoną krzywdę. „Zgaduję co pani chce powiedzieć", łaskawie, ale stanowczo przerwał redaktor nieco rozwlekły wstęp do długo wyczekiwanej rozmowy. „Powiedziała pani dosyć" — ciągnął dalej (bez serca — jak jej się teraz wydawało). Nigdy pani w gazecie nie pracowała. Brak wyrobienia, brak opanowania. Brak rutyny. Ukończyła pani średni zakład, pięknie. Potem łyknęła nieco wyższych studjów. Zna pani nieźle język. Przyjaciele i przyjaciółki mówili, że tak dowcipnie i pięknie pani pisze i t. d. i t. d. Wobec tego sądzi pani, że należy wziąć się do dziennikarstwa? Życzy pani, żebym jej zdolności zużytkował? Żałuję mocno. Nie mam wakansu. Wszędzie takie przepełnienie".

„Jeżeli niema wakansu" — przerwała z kolei — „jakim sposobem weszli tu ci, co już piszą? Jak mam udowodnić, że nadaję się bardziej niż inni?"

„Oni są już niezbędni". Padła krótka odpowiedź. „Niech się pani stanie niezbędną".

„Ale jak to zrobić, jeżeli nie mam możności?"

„Trzeba stworzyć możność".

„Ale jak?" nalegała, myśląc jednocześnie, że redaktor jest bardzo niemądrym człowiekiem.

„Jak? To już pani sprawa, nie moja". Powiedział zimno, wstając na znak zakończenia rozmowy.

„Muszę poinformować panią, że w tym tygodniu miałem już z osiemnaście petentek i że każdej z osobna nie będę pouczał—„jak". Funkcje moje w redakcji są nieco różne od funkcji instruktora w szkole dziennikarskiej".

Jadąc tramwajem do domu powtarzała nieustannie tę rozmowę. „Ale jak? Ale jak?", myślała, wdrapując się na trzecie piętro, gdzie zajmowała wraz z siostrą kawalerski pokój. „Ale jak?" świdrowało zawzięcie pytanie, albowiem uparta szkocka krew, chociaż od kilku pokoleń oderwana od ziemi rodzinnej, dotychczas jeszcze mocno biła w żyłach. Poza uporem krwi — realne potrzeby domagały się odpowiedzi na pytanie — „jak". Dziewczyna wraz z siostrą Letty przybyła z głębokiej prowincji, żeby zdobyć stanowisko w świecie. Ojciec ich John Wyman był drobnym właścicielem gruntu, nieudane przesiębiorstwa obciążyły te jego morgi i zmusiły obie dziewczyny, Ednę i Letty, do pracy na siebie.

Rok pracy nauczycielskiej w szkołach, wieczorna nauka stenografji i pisania na maszynie, dały podstawę dla projektów utrzymania się w mieście i wytworzyły odwagę, która niosła w sobie wszystko — prócz powodzenia. Miasto zdawało się przepełnione niedoświadczonemi stenografistkami i maszynistkami, Edna zaś i Letty nie miały nic do zaofiarowania, oprócz własnego niedoświadczenia. Edna marzyła po cichu o dziennikarstwie. Zamierzała wziąć na początek posadę podrzędną, pomocniczą, aby uzyskać możność rozpatrzenia się i wybrania odpowiedniej gałęzi tej pracy. Ale posada sekretarza nie zjawiała się ani dla Letty ani dla niej i dzień po dniu szczupłe ich oszczędności topniały, komorne zaś pozostało takie, jakie było i piec pochłaniał węgiel z niezmniejszoną żarłocznością.

Oszczędności zaś były już na wyczerpaniu.

„Słyszałaś o Maxie Szwinie?" — spytała Letty, kiedy rozmawiały o swych troskach. „Jest dzienni-

karzem, znanym w całym kraju. Pójdź do niego i porozmawiaj, Edna. On wie — „jak", może ci powie.

„Ależ ja go nie znam" — oburzyła się Edna.

„Tak samo jak redaktora, u którego byłaś dzisiaj".

„T-a-k (powoli, z zastanowieniem), — ale to co innego".

„Ależ nic innego, niż nieznajomi mężczyźni i kobiety, do których będziesz udawała się po wywiady, kiedy już będziesz wiedziała — „jak". — Zachęcała Letty.

— Nie brałam tego z tej strony — zawahała się Edna. — Właściwie masz rację. Jakaż jest różnica między wywiadem z p. Maxem Szwinem dla jakiegoś dziennika, a wywiadem z tymże Maxem Szwinem, zrobionym dla siebie? Będzie to tylko praktyka! Poszukam adresu w książce i pójdę do niego.

— Letty, ja wiem, że pisać potrafię — żeby mi tylko dano możność! Czuję to napewno, mam poczucie tej pewności. Rozumiesz mnie?

Letty kiwnęła głową. „Jestem ciekawa jaki on jest?" — dodała cicho.

„Moim zadaniem trzeba będzie to wykryć"—zapewniła Edna, „dam ci znać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin".

Letty klasnęła w ręce. „Dobrze! Oto duch iście dziennikarski. Zrób to w dwadzieścia cztery godziny, a będziesz doskonałością!"

*

„— przykro mi bardzo że pana trudzę". — Zakończyła sprawę, zwracając się do Maxa Szwina, sławnego korespondenta wojennego i wytrawnego dziennikarza.

„Ależ nic podobnego", — odpowiedział, przepraszając ruchem ręki. „Jeżeli pani nie będzie starać się o swoje sprawy, któż je będzie prowadził? Rozumiem dokładnie trudne położenie pani. Pani chce dostać się do redakcji „Intelligencer". Nie posiada pani jednak żadnego doświadczenia. Więc naprzód: proszę mi powiedzieć: ma pani jaką protekcję? Jest przecież wielu ludzi, od których jednego gestu zależy otwarcie sezamu. Potem zostaje się tam lub nie — zależnie od zdolności. Jest np. senator Longbridge lub Claus Inskeep, magnat od tramwajów, i Lane i Me Chesney —"

Przerwał, jakby zawiesiwszy głos na półnucie.

„Nie znam żadnego". Odpowiedziała z żalem.

„To nie konieczne. Czy pani zna kogo, kto zna którego z nich? Albo wreszcie kogoś, kto zna tego, który zna jednego z tych panów?"

Edna zaprzeczyła ruchem głowy.

„Musimy wymyśleć co innego", — ciągnął wesoło. „Trzeba zatem, aby pani zrobiła coś sama. Zastanówmy się".

Milczał chwilę z zamkniętemi oczyma i zmarszczonym czołem. Dziewczyna czekała, przyglądając się dziennikarzowi uważnie. Nagle niebieskie jego oczy otwarły się i twarz rozbłysła.

„Już mam. Ale nie — jeszcze chwilę —" i tak długo, że policzki dziewczyny zabarwiły się pod tym przenikliwym wzrokiem.

„Mam wrażnie, że się pani nada, — zresztą, to się pokaże". Mówił, a raczej myślał głośno. „Okaże się co pani jest warta. Przytem to, co projektuję, dałoby lepszy glejt do redakcji „Intelligenceru", niż wszystkie listy wszystkich senatorów i magnatów

świata. Projekt mój brzmi: wieczór amatorski na Loopsie".

„Ja... ja nic nie rozumiem", bąkała Edna, nie pojmując tej propozycji. „Co to jest Loops? Co znaczy wieczór amatorski?"

„Zapomniałem, że pani jest z prowincji. Ale tem lepiej, jeżeli tylko ma pani dziennikarską żyłkę. Będzie to pierwsze wrażenie, a pierwsze wrażenie jest zawsze bezstronne, nieobarczone przesądami, świeże żywe, szczere. Loops, jest to miejsce zabaw ludowych na przedmieściu, blisko Parku. Są tam latające koleje, ślizgające się łodzie, orkiestra, teatr, dzikie zwierzęta, kino i t. d. i t. d. Pospólstwo chodzi tam na oglądanie zwierząt i wszelką zabawę. Inteligenci chodzą czasami aby bawić się tłumem. Demokratyczne zaczerpnięcie świeżego powietrza i zabawa — oto Loops.

Ów teatr na Loopsie nadaje się doskonale na teren próby dziennikarza. Jest to raczej kabaret — produkcje co chwila inne. Żonglerzy, akrobaci, ludzie, węże, tancerze, murzyni, śpiewacy pieśni i kupletów, grajkowie, transformiści i t. d. i t. d. Zawodowi aktorzy, zarabiający w ten sposób na życie. Wielu zarabia znakomicie. Niektórzy wędrują z teatru do teatru, dokąd ich zaangażują: do Obermann, do Orfeusza, do Alcatrażu i t. d. i t. d. Inni krążą po całym kraju. Jest to jedna z najciekawszych sfer społecznych, odnawiająca się ciągle, gdyż zarobki są dostatecznie duże, aby nęciły wciąż nowych adeptów.

Zarząd Loopsu, starając się o popularność, stworzył to, co nazwałem „wieczorem amatorskim". Dwa razy w tygodniu po występach fachowych artystów, scenę oddaje się do użytku amatorów. Publiczność

staje, żeby krytykować — gawiedź jest wtedy ar-
trem sztuki (raczej ma się za takiego). To zresztą
ajzupełniej obojętne — tłum płaci i za swoje grosze
st z siebie zadowolony. Dyrekcja oczywiście także.
ym sposobem amatorzy przynoszą korzyść dyrekcji.

Najciekawszy w tem wszystkiem jest fakt (i to
arto zanotować), że amatorzy owi, nie są rzeczywi-
ymi amatorami — za występy bowiem pobierają za-
atę. Możnaby ich nazwać, w najlepszym razie, za-
odowymi amatorami, amatorami z profesji. Ma się
ozumieć, że dyrekcja nie może znaleść ludzi za dar-
no do bawienia podnieconego tłumu. Publiczność
zaś szaleje za temi amatorskiemi przedstawieniami,
est to dla niej gratka nie lada. Zatem, wracając do
ematu, trzeba, aby pani udała się tam i wzięła udział
w dwóch przedstawieniach (środy i soboty, zdaje się).
Potem opisać to dla „Intelligencera".

„Ale — ale —" jąkała drżącym głosem. „Ja —
ja" — brzmiał w nim zawód i łzy.

„Ja rozumiem". Rzekł łagodnie. „Pani spodzie-
wała się czegoś innego, czegoś prostszego, lepszego.
Wszyscy tak zaczynamy. Trzeba pamiętać o admira-
le, który szorował pokład okrętu i czyścił klamki u
drzwi. Musi pani zapoznać się z najcięższą pracą — z
tem amatorstwem. Albo odejść zupełnie. Więc co,
jak?"

Porywczość, z jaką żądał decyzji, zaskoczyła
dziewczynę. Wahała się — gdyby była mniej zajęta
sobą, zauważyłaby, jak cień niezadowolenia omroczył
twarz mentora.

„Trzeba traktować to jako próbę — dodał, za-
chęcając. „Ciężka próba ale tem lepiej. Teraz, albo
nigdy. Zaryzykuje pani?"

„Spróbuję" — zgodziła się słabo, notując jed-
cześnie pośpiech tych wszystkich ludzi, z którymi
teraz do czynienia.

„Dobrze! Ja na początek dostałem równiej n
bardziej nudne, najbardziej okropne drobiazgi.
tem przez długi czas prowadziłem notatki policy
i rozwodowe. Ale wszystko skończyło się dobrze,
szedłem wcale na tem nieźle. Pani jest szczęśliws
rozpoczynając od wiadomości świątecznych. To wp
wdzie również drobiazg. Ale cóż z tego? Niech p
to zrobi. Niech pani wykaże swoją wartość, wte
zostanie pani powołana do pracy ciekawszej i intr
niejszej. Teraz — proszę pójść do Loops, postarać s
o przyjęcie do teatru i o uzyskanie dwu numerów
programie".

„Ale co ja mogę dać, jakiego gatunku mają by
te numery?" pytała z rozpaczą.

„Jakie? O, to głupstwo. Czy pani śpiewa? Zre
sztą wszystko jedno — wcale nie trzeba umieć śpie
wać. Wystarczy krzyczeć. Zapłacą pani za dostarcze-
nie rozrywki kiepskiej — byle publiczność mogła po
gwizdać. Jeżeli pani tam pójdzie, proszę wziąć jaką
przyzwoitkę. Ale nie trzeba się bać. Zachowywać się
swobodnie. Z amatorami, czekającymi kolei, rozma-
wiać z całą prostotą i swobodą. Badać, poznawać, fo-
tografować w mózgu wszystko. Wżyć się w atmosfe-
rę, uchwycić kolor, istotny kolor, dużo koloru. Łapać
w obie ręce esencję, ducha, znaczenie. Tak, przede-
wszystkiem odszukać znaczenie. Oto pani zadanie.
Oto, co chcą widzieć czytelnicy „Intelligencera".
Trzeba zwięzłości w stylu, mocy i żywości w zdaniu,
dowcipu i szczerości w porównaniach. Unikać ogól
ników i banalności. Dobór jaknajstaranniejszy. Chwy

ć rzeczy charakterystyczne, resztę wyrzucać — i raz gotów. Proszę namalować ten obraz słowami „Intelligencer" otworzy pani swoje podwoje. Proszę wziąć kilka poprzednich numerów „Intelligencera" i przestudjować. Wszystko powiedzieć trzeba w pierwszym rozdziale, jako zapowiedź całej treści, w rozwoju zaś szkicu powtórzyć wszystko na nowo. Akcent położyć na końcu, tak, żeby redakcja w razie braku miejsca, mogła obciąć gdziebądź, a potem związać treść, nie psując formy. To wystrczy. Resztę trzeba poznawać na użytek własny —"

Wstali oboje. Edna uniesiona entuzjazmem dziennikarza i porywczemi rzutami jego myśli, poczuła się jakby elektrycznie przeładowana tem wszystkiem, czego się nagle dowiedziała.

„Proszę pamiętać panno Wyman, jeżeli jest pani ambitną — że szkic charakterystyczny nie jest ostatecznym ideałem dziennikarstwa. Trzeba unikać szablonu, Szkic jest sztuczką. Należy ją opanować, ale nie można dać się opanować jej. Opanować trzeba koniecznie, bo jeżeli nie nauczy się pani robić charakterystyki, nie potrafi pani zrobić nic lepszego. Krótko: trzeba wejść w to z kościami, a jednocześnie zostać ponad tem, obok, — jeżeli mnie pani rozumie. A więc — życzę powodzenia".

Doszli do drzwi i podali sobie ręce.

„Jeszcze jedno — przerwał podziękowania dziewczyny — chciałbym zobaczyć artykulik pani przed odesłaniem do redakcji. Może trzeba go będzie nieco poprawić —"

Edna odszukała dyrektora Loopsu — grubego mężczyznę o obwisłych policzkach, krzaczastych

brwiach i roztargnionem, posępnem wejrzeniu. W środku tej twarzy tkwiło wielkie czarne cygaro.

Nazywał się Symes, Ernst Symes.

„Jaka rola?" — zapytał w połowie zgłoszenia.

„Romanse, sopran liryczny — wypaliła bez n mysłu, pamiętając rady Szwima, żeby nie zapominać języka w buzi.

„Nazwisko?" — pytał dalej ledwo racząc spojrzeć.

Zawahała się. Tak raptownie została uwikłana w tę atmosferę, że sprawy nazwiska nie obmyśliła dotąd wcale.

„Jakiekolwiek! Pseudonim!" — ryknął niecierpliwie.

„Nan Bellayne" — wymyśliła na poczekaniu.

„B-e-l-l-a-y-n-e. Dobrze".

Gryzmolił w notesie.

„Zrobione. Wystąpi pani w środę i sobotę".

„Ile otrzymam?" spytała Edna.

„Dwa i pół dolara występ. Dwa występy pięć dolarów. Wypłata w najbliższy poniedziałek po ostatnim występie".

Bez zwykłego „dowidzenia" odwrócił się i pogrążył w gazecie, którą czytał przed zjawieniem się klijentki.

Edna z Lettą przyszła we środę znacznie wcześniej niżby należało. Kostjum, rzecz prosta, przyniosły w pudle. Kraciasty szal, pożyczony od praczki, podarta stara spódnica, wzięta od posługaczki i szara peruka, wynajęta za 25 centów na wieczór — stanowić miały rynsztunek bojowy.

Edna zdecydowała wystąpić jako stara irlandka,

czekująca w smutku powrotu syna, wędrującego świecie.

Chociaż przyszły tak wcześnie, zastały wszędzie wrzawę i zgiełk. Właściwe przedstawienie było rozpoczęte, orkiestra grała i publiczność od czasu do czasu wybuchała oklaskami. Natłok amatorów psuł sprawność pracy za kulisami, zapełniał przejścia i korytarze, ubieralnie i żakamarki, zmuszając wszystkich do wchodzenia sobie wzajem w drogę. Szczególnie szło to nie w smak zawodowym artystom, którzy zachowywali się jak przystoi rasie wyższej i których stosunek do parjasów - amatorów nacechowany był pogardą a nawet brutalnością.

Edna przez stłoczoną i tłoczącą się masę ludzi, zbita, zgnieciona, stratowana niemal, broniąca desperacko swoje pudło — notowała wszystko uważnie.

Znalazła w końcu garderobę, zaanektowaną przez trzy „panienki" - amatorki, które charakteryzowały się, kłócąc hałaśliwie o jedyne w ubieralni lustro. Charakteryzacja jej była bardzo prosta, nie zabrała więc dużo czasu i Edna wkrótce opuściła rozkrzyczane trio, które zawarło tymczasem zdradny rozejm w celu skuteczniejszego ostrzenia ząbków jej kosztem.

Wreszcie cierpliwością a stoicyzmem Edna i Letty zdobyły kącik za skrzydłem kulis, skąd miały widok na scenę.

Mały, czarny mężczyzna, we fraku i cylindrze, mizdrząc się do publiczności, walcował naokoło sceny lekkim zalotnym krokiem. Cienkim, słabym głosem lecz nader patetycznie śpiewał coś o kimś, czy o czemś. Kiedy omdlewający z nadmiaru słodyczy głos kończył swe trele, jakaś tęga kobieta, ukoronowana

bogactwem jasnych włosów, brutalnie popchnęła I nę, sycząc przez zęby „przeklęta amatorka".

W następnej chwili była już na estradzie, k niając się z wdziękiem i uśmiechami, podczas gd mały, czarny mężczyzna kręcił się cudacznie na końcach stóp.

„Hallo, dziewczęta!"

Okrzyk ten rzucony z pieszczotliwą swawolą przestraszył Ednę i Lettę. Okrągły, biały i gładki młodzian uśmiechał się dobrodusznie. Ucharakteryzowany jako włóczęga, raził brakiem zwichrzonej brody.

„O te kotlety przylepi się raz — dwa — pokazując bokobrody odpowiedział na pytanie, jakie dostrzegł w oczach Edny. „Za gorąco, pod tym się człowiek poci", objaśniał dalej.

Przyjrzał się jej ciekawie i z uznaniem.

„A co panna grasz?"

„Ja śpiewam, romanse sopran" odpowiedziała, usiłując pozbyć się zażenowania.

„Po co tu panna wlazłaś?"—zapytał nagle i bez ogródek.

„No, dla rozrywki, po cóżby innego — broniła się.

„Zwąchałem to odrazu jak tylko zobaczyłem panienkę — łagodził. „Ale czy pani nie smaruje czasem do gazet".

„Nigdy w życiu nie widziałam redaktora — oprócz jednego — wykręcała się jak piskorz. „I ja... no, no, nie mogliśmy się porozumieć".

„Nacisnęła go pani o zajęcie?"

Edna niedbale skinęła głową. Rozpaczliwie szukała przedmiotu, myśli, okazji do zmiany tematu.

„No i cóż ta pała?"

„Powiedział, że już ośmnaście osób prosiło go o to samo w ciągu jednego tygodnia".

„To się nazywa, hm, wylać kubeł zimnej wody", księżycowe oblicze młodzieńca wyciągnęło się w wybuchu szczerego śmiechu. Trzepnął rękoma po udach.

„Pani rozumie, jesteśmy podejrzliwi. Niedzielne gazety zawsze lubią dostać „przedstawienie amatorskie" usmażone na rumiano. A dyrektor patrzy na to zezem. Dostaje na tę myśl dzikich oczu, niczem kot kiedy ujrzy psa".

„Jaki pański numer?" — zdołała odwrócić nurt zbyt gorących dla niej słów.

„Co? a! mój numer? O, ja robię włóczęgę. Jestem Charley Welsh — pani wie?"

Czuła, że chłopak wynurzając swoje nazwisko, ma pewność, że dał kompletne wyjaśnienie. Odpowiedziała więc grzecznie:

„O, czyżby?"

Miała ochotę śmiać się, zobaczywszy na jego twarzy rozczarowanie, lecz ukryła swoje rozbawienie.

„Gadanie, powiedział opryskliwie, nie będzie mi panna mówiła, że nie słyszała nigdy o Charley Welshu? Widać jest pani bardzo młoda. Jestem jedynym, nie - wyjątkowym amatorem. Musiała mnie pani widzieć. Jestem wszędzie znany. Mógłbym zostać zawodowym aktorem — ale to jest niewyrobione ciasto wobec chleba amatorów".

„Ale dlaczego jedyny, wyjątkowy? Chcę się uczyć" — pośpieszyła wytłomaczyć pytanie.

„Sługa pani — odparł z galanterją. Wleję pannie do główki nieco mądrości. Jedyny, wyjątkowy, zna czy niezastąpiony, nieporównany, facet, który robi

każdy gatunek numerów lepiej niż kto inny. Rozumie panna co to „wyjątkowy?"

Etna rozumiała.

„Jeżeli panienka chce się uczyć, to proszę gwiazdki swoje nastawić na mnie. Ja jestem jedyny, wyjątkowy, wszechstronny amator. Dziś wieczór nabieram publikę niby włóczęga. A trudniej „kiwać", niż być prawdziwym włóczęgą — bo to jest tworzenie, to jest sztuka, to jest artyzm. Widzi pani! Ja robię wszystko, od żydowskich monologów do pieśni i tańców lub holenderskich komedji. Naprawdę ja jestem Charley Welsh, wyjątkowy Charley Welsh".

Tym sposobem, podczas gdy mały ciemny mężczyzna i tęga jasna kobieta gruchali słodko na estradzie, a inni amatorzy odrabiali swoje numery — Charley Welsh, wyjątkowy amator „nalewał" Ednę mądrością, dając jej dużo informacji zbytecznych, wiele jednak takich, które skrzętnie notowała dla „Sunday Intelligencer".

„Tra-la-la, zaśpiewał nagle Charley, oto jego wysokość, polująca na panią. Pani pierwsza w programie. Nie trzeba się peszyć hałasem, kiedy pani wyjdzie na scenę. Skończ numer panienko jak dama".

Edna poczuła, że jej dziennikarskie ambicje i animusz odleciały gdzieś daleko; chciała uciec. Ale inspicjent stał na drodze jak groźny ludożerca... Orkiestra zaczęła grać wstęp do pieśni. Hałas na sali powoli opadał i zamienił się wreszcie w pomruk oczekiwania.

„Naprzód" — szepnęła Letty, ściskając rękę Edny, z drugiej strony zabrzmiał cicho ale stanowczo „zebrać się w kupę" głos Charley Welsha. Oparła się o kulisy, czując, że nogi ma przyrośnięte do pod-

łogi. Orkiestra rozpoczęła wstęp na nowo. Na sali rozległ się głos przeraźliwie wyraźny:

„Łamigłówka rysunkowa — odszukać Nannie!"

Burza śmiechu powitała dowcip. Edna rzuciła się w tył, ale silna ręka inspicjenta mocnym i szybkim chwytem za ramię, wypchnęła ją na scenę. Ruch ten nie uszedł uwagi publiczności — rozkołysana niby morze widownia grzmiała huraganem zadowolenia. Straszliwy hałas zagłuszył orkiestrę i Edna widziała smyczki, biegające bez głosu po strunach skrzypiec. Niemożliwe było zacząć w porę, więc ująwszy się pod boki i łowiąc uchem melodję cierpliwie wyczekiwała uciszenia podnieconej publiczności. Daremnie jednak. Sala nie przestawała huczeć. (Ulubiona sztuczka tłumu, jak się potem dowiedziała, nie dopuścić śpiewaka do słyszenia orkiestry).

Edna powoli odzyskiwała przytomność umysłu. Czuła się otoczona przez olbrzymie morze wrzaskliwego śmiechu, tupotu nóg i głuchego huku rozbawionej ciżby. Przed oczyma migała masa rozkołysanych twarzy o świecących oczach i czarnych plamach szeroko otwartych w krzyku ust.

Przemówiła w końcu szkocka krew. Edna zawrzała gniewem. Jednocześnie stała się spokojna i zimna. Orkiestra, ciężko pracująca ale niema, dała znak i Edna rozpoczęła swój. numer. Poruszała wargami, nie wydając głosu, wyciągała przed siebie ramiona i chwiała się ciałem pod rytm muzyki. Hałas na widowni wzmógł się jeszcze. Edna nadal spokojnie wykonywała swoją niemą produkcję. Zdawało się, że trwało to w nieskończoność. Nagle publiczność wyczerpana długotrwałym wysiłkiem i znudzona zbyt jednostronną zabawą — umilkła niemal w jednej

chwili. Edna została zdemaskowana! Przez chwilę na sali zaległa cisza — słabo i mdło po niedawnej wrzawie brzmiała orkiestra — Edna poruszała wargami. Wreszcie publiczność zrozumiała, że wyprowadzono ją w pole — grzmot oklasków, krzyków, śmiechu, łomotania w podłogę i krzesła wstrząsnął posadami teatru. Burza rozszalała się znowu. Tym razem jednak była uznaniem zwycięstwa Edny.

Szczęśliwą chwilę należało wyzyskać dla odwrotu. Cofając się w ukłonach, Edna odnalazła sama siebie za kulisami w objęciach Letty.

Przeszedłszy przez ogniową próbę — resztę wieczoru poświęciła obserwacji, nadsłuchiwaniu i notowaniu spostrzeżeń. Wielką pomocą w tej pracy był jej Charley Welsh, który tym razem kreował dla niej mentora i anioła stróża. Wywiązał się ze swego zadania tak dobrze, że kiedy przedstawienia dobiegły końca, Edna czuła się zupełnie przygotowana do napisania szkicu.

*

Pomimo przykrych wspomnień z pierwszego występu, zawzięta panna postanowiła dotrzymać zobowiązania. Poza względami na Maxa Szwina, zmuszała ją do tego dumna a uparta szkocka krew. Oprócz tego chciała sprawdzić pewne spostrzeżenia, które zamierzała zużytkować dla „Intelligencera". Zjawiła się więc w sobotę na terenie Loopsu wraz z Lettą i pudłem od kostjumu.

Dyrektor wybiegł naprzeciw nich. Edna dostrzegła w jego oczach wyraz ulgi. Była zaskoczona zmianą w jego zachowaniu. Nie miał już swojej poprzedniej ludożerczości, przeciwnie, kłaniał się z szacun-

kiem i zabójczą uprzejmością. Z poza jego pleców spostrzegła mrugającego ostrzegawczo Charleya.

Był to jednak początek niespodzianek. Dyrektor prosił o przedstawienie go Letty, rozmawiał z niemi uprzejmie i nader grzecznie. W końcu ofiarował Ednie własną ubieralnię ku niewymownej zazdrości trzech panien - amatorek, poznanych poprzedniego wieczoru. Edna była zaintrygowana. Trwało to do spotkania w korytarzu z Welshem, który rzucił światło na tajemnicę.

„Halo! — przywitał. Jesteśmy na ulicy „Łatwej", co? Wszystko idzie jak po maśle-"

Zaśmiała się wesoło.

„Stary myśli, że pani jest reporterką. Naprawdę. O mało mnie nie rozsadziło, jakem go widział merdającego ogonem przed panią. Ale, ale szczerze — pani nie bawi się w pisaninę?"

„Opowiedziałam panu moją przygodę z redaktorem — zastawiła się. — Byłam szczera wtedy — no i teraz".

Ale „wyjątkowy" Charley Welsh nieufnie kiwał głową.

„Nie dbam o to" — zadeklarował wreszcie. Jeżeli pani jest reporterką — proszę o ciepłe słówko o mnie, słówko właściwego gatunku, wie pani — dobrą markę, (po namyśle). W każdym razie, czy jest pani reporterką czy nie — nie pochodzi pani z naszej bandy. To jasne".

Po numerze, podczas którego tym razem zachowywała się jak stary wiarus, dyrektor wrócił do ataku. Po oświadczeniu przyjemnych słówek i wielu ukłonach, przeszedł do głównej sprawy:

„Pani, mam nadzieję, potraktuje nas dobrze —

powiedział znacząco. Będzie pani sprawiedliwą, myślę".

„O — odpowiedziała niewinnie — nie namówi mnie pan na dalsze występy. Ja wiem, że spodobałam się publiczności, ale rzeczywiście, rzeczywiście — nie mogę".

„Pani wie, co chciałem powiedzieć — odrzekł z lekkim nawrotem dawnego groźnego tonu.

„Nie, panie — wymykała się — naprawdę, przedstawienia zanadto szarpią nerwy, przynajmniej moje".

Był zbity z tropu i chociaż wyraźną miał w twarzy nieufność — przestał nacierać.

W poniedziałek zrana, kiedy przyszła Edna po należność za występy, została z kolei zbita z tropu przez oświadczenie dyrektora.

„Pani musiała mnie źle zrozumieć — kłamał gładko. — Pamiętam, że mówiłem coś o zapłaceniu za przejazd pani. Zawsze tak robimy, proszę pani, ale nigdy, nigdy nie opłacamy amatorów. Zniszczyłoby to cały sens rzeczy. Charley Welsh oszukał panią. On również nie otrzymuje nic za występy. Żaden amator nie pobiera honorarjów. Szczególna idea! Jednakże, oto jest 50 centów, wliczony tu jest tramwaj siostry pani. I — (z nadzwyczajną słodyczą), mówiąc o Lopsie — pozwoli pani, że jej podziękuję za łaskawą i wielką ofiarę".

Tego popołudnia, wierna obietnicy danej Maxowi Szwinowi, przyszła doń z rękopisem. Przeglądał kiwając z uznaniem głową i zasypywał gęstym ogniem pochwał. „Dobrze! — to właśnie! — to materjał! — psychologja pierwsza klasa! — doskonała myśl! — złapane! — wspaniałe! Hm, trochę chybione... ale uj-

dzie. Z werwą! — silnie — żywo! — obrazowo! — wybornie! — wspaniale!"

Poczem podając rękę, kiedy skończył czytać:

„Droga panno Wyman, winszuję. Muszę przyznać praca pani przeszła wszelkie moje oczekiwania, które, mówiąc najoględniej, były wielkie. Jest pani wrodzonym dziennikarzem. Ma pani chwyt! Pójdzie pani daleko! „Intelligencer" przyjmie to niewątpliwie i panią także. Będą musieli przyjąć, inaczej zaangażuje panią każde inne pismo".

„Ale co to? — zapytał nagle i twarz jego stała się poważna. „Nic pani nie napisała o honorarjum za występy w Loops — a to jest najważniejszy punkt tego szkicu. Podkreśliłem to specjalnie, jeżeli pani pamięta".

„Tak nie może zostać — twierdził, kręcąc głową złowrogo, kiedy wyjaśniła. — Musi pani koniecznie odebrać te pieniądze. Za wszelką cenę. Chwilę namysłu, trzeba koniecznie coś wymyśleć —"

„Proszę niech się pan już nie trudzi, panie Szwin, — prosiła. — Dosyć już pana namęczyłam. Czy pozwoli mi pan zatelefonować? — Sprobuję jeszcze pogadać z p. Symes".

Ustąpił miejsca przy biurku i Edna zdjęła słuchawkę.

„Charley Welsh chory — powiedziała w tubę, uzyskawszy połączenie. — Co? Nie, nie jestem Charley Welsh. Charley Welsh jest chory i jego siostra chce wiedzieć, czy może przyjść dziś popołudniu po pieniądze dla niego?"

„Proszę powiedzieć siostrze Charley Welsha, że Charley Welsh był dziś zrana i sam zabrał pieniądze" — wrócił znany szorstki głos dyrektora. „Do-

brze" — ciągnęła Edna. — Teran Nan Bellayne chce wiedzieć, czy może przyjechać dziś popołudniu z siostrą i otrzymać należne jej pieniądze?"

„Co odpowiedział? co odpowiedział?" — krzyczał w podnieceniu Max Szwin, kiedy Edna powiesiła słuchawkę.

„Uznał się za zwyciężonego. Powiedział, że mogę przyjechać po pieniądze i ofiarował wolny wstęp do Loops".

„Jeszcze jedno — przerwał podziękowania, jak podczas pierwszej jej bytności — teraz, kiedy już pani pokazała, z jakiego materjału jest zrobiona — uważam za zaszczyt dla siebie dać pani list polecający do redakcji „Intelligencera".

Ekierka.

— Mam prawo wiedzieć — powiedziała dziewczyna. Głos jej stwardniał od determinacji i nie brzmiał ani jedną nutą prośby, chociaż demonstracja to była taka, jaką osiąga się po długich prośbach. Prośbę tę wyrażała dotychczas cała istota, chociaż nigdy nie wymówiły słowa. Wargi milczały uparcie, lecz wyraz twarzy, spojrzenie i całe napięcie duszy oddawna już wymownie pytały. Mężczyzna wiedział o tem, ale nie odpowiadał; wreszcie żażądała wyraźnie odpowiedzi.

— To moje prawo — powtórzyła.

— Wiem o tem — odrzekł rozpaczliwie i bezradnie.

Czekała w milczeniu, które zapadło, sycąc oczy słonecznym blaskiem, przesianym przez zwiewne gałęzie i kąpiącym wielkie pni drzew w łagodnem cieple. Blask ten, przyćmiony i kolorowy, zdawał się być promienistością samych pni, tak mocno nasiąknął czerwoną ich barwą. Dziewczyna widziała to, nie patrząc, tak samo jak, nie słuchając, słyszała głuche bulgotanie strumienia na głębokiem, odległem dnie wąwozu.

Spojrzała w dół ku mężczyźnie. — Więc? — rzuciła z mocą, zawierającą pewność, że posłuch nastąpi niezwłocznie.

Siedziała wyprostowana, oparta plecami o wielki zwalony pień. Chłopak leżał u jej nóg, wparłszy łokieć w ziemię i głowę podtrzymując dłonią.

— Kochana moja, kochana Lute — wyszeptał.

Drgnęła na dźwięk jego głosu — nie odepchnięta niechęcią, lecz raczej walcząca przeciwko urokowi tej łagodnej pieszczoty. Nauczyła się już znać i oceniać czary tego mężczyzny — owo bogactwo nasycenia i spokoju dawane samą tkliwą intonacją głosu, dotknięciem ręki do ręki, delikatnym powiewem oddechu koło szyi lub policzków. Mężczyzna ten wypowiadając się słowem lub spojrzeniem, nasycał je zawsze nieświadomie w tajemniczy sposób wyrazem, który pieścił i koił dotykanie niby łagodną ręką. Owa nieodparta pieszczota nie miała jednak w sobie nic z ckliwego sentymentalizmu, ani z zuchwałego szaleństwa namiętności. Była poprostu żywiołowa, zdobywcza, męska. Była też niemal zupełnie nieświadoma. Chłopak nader mgliście zdawał sobie sprawę z jej istnienia i promieniowania. Była cząstką jego istoty, oddechem jego duszy — mimowolnym i nieświadomym.

Poraz pierwszy dzisiaj, dziewczyna, zrozpaczona i zdecydowana na wszystko — oprzeć się sprobowała czarowi. Chłopak chciał zmiękczyć jej spojrzenie, lecz sine oczy spoglądały tak ostro z pod chłodnych, prostych brwi, że pokornie złożył głowę na kolana dziewczęce. Wtedy mała rączka gładzić poczęła zcicha jego czuprynę, zaś wyraz twarzyczki roztapiać się począł w tkliwości i spokoju. Kiedy jednak chłopak spojrzał znów ku górze — siwe oczy patrzyły znów twardo z pod chłodnych, prostych brwi.

— Cóż więcej mam ci powiedzieć? — mówić zaczął. — Nie mogę cię poślubić. Nie mogę poślubić

adnej kobiety. Kocham cię ponad życie — wiesz o em. Jeśli na jednej szali złożę ciebie na drugiej umieszczę wszelkie wartości świata — przeważasz wszytko. Oddałbym wszystko żeby posiąść ciebie — a rzecież niewolno mi. Nie mogę cię poślubić. I nie ędę mógł nigdy.

Wargi jej zacisnęła wola panowania nad sobą. Głowa mężczyzny kłoniła się już znowu ku jej kolanom, gdy powstrzymała go nagłym ruchem.

— Czy jesteś żonaty, Chris?

— Nie! Nie! — zawołał gorąco. Nie jestem i nigdy nie byłem. Tylko ciebie chcę za żonę! I mieć nie mogę.

— Gdyż —

— Nie! — przerwał — Nie pytaj!

— Mam prawo wiedzieć — powtórzyła.

— Wiem o tem — przerwał raz jeszcze — ale nie mogę ci powiedzieć.

— Nie wziąłeś mnie pod uwagę, Chris — ciągnęła łagodnie.

— Wiem, wiem, — wybuchnął.

— Ja wiem również, że nie mogłeś wziąć mnie pod uwagę. — Ale ty nie wiesz nawet ile z twego powodu znieść muszę od rodziny.

— Nie przypuszczałem, że tak źle są dla mnie usposobieni — powiedział gorzko.

— To prawda. Zaledwie mogą cię znosić. Nie okazują ci tego, ale nieomal cię nienawidzą. Wszystko to odbija się na mnie. A przecież, niezawsze tak było. Lubili cię dawniej tak bardzo, jak... jak ja cię lubię. Ale to było przed czterema laty. Czas mijał — jeden rok, drugi rok. Wtedy moi zaczęli zwracać się przeciwko tobie. Nie można potępiać ich za to. Ty nie mó-

wiłeś ani słowa. Oni widzieli, że rozbijasz moje życie. Minęło cztery lata — ani słowem nie wspomniałeś im o małżeństwie. Cóż mogą myśleć? To co myślą: że rozbijasz mi życie.

Mówiąc nie przestawała gładzić jego włosów, pełna cierpienia, że sprawiać musi ból.

— Z początku lubili cię bardzo. Któż może cię nie lubić? Zdajesz się pociągać sympatję wszystkiego, co żyje, jak korzenie drzew przyciągają wilgoć ziemi. Jakby ci się z prawa urodzenia należały ludzkie serca. Ciotka Mildred i Wuj Robert uważali, że na całym świecie niema nikogo takiego jak ty. W tobie wschodziło i zachodziło dla nich słońce. Uważali, że jestem najszczęśliwszą dziewczyną, bo posiadam twoją miłość.

„Coś mi na to wygląda" — mawiał Wuj Robert, żartobliwie kiwając ku mnie głową. Tak, nie ulega wątpliwości, że cię lubili. Ciocia spoglądała czasem czule na Wuja i mawiała: „Patrząc na tego chłopaka, żałuję, że już nie jestem młoda". A Wuj na to: „Wcale ci się nie dziwię, moja droga". Poczem poczciwa para zaczynała osypywać mnie powinszowaniami, że zdobyłam takiego jak ty mężczyznę.

Wiedzieli również, że kocham ciebie. Czyż mogłam to ukryć? — tą olbrzymią, cudowną sprawę, która weszła w moje życie i pochłonęła wszystkie jego dni. Przez cztery lata, Chris, żyłam tylko dla ciebie. Każda chwila należała do ciebie. Budząc się — kochałam. Śpiąc — śniłam o tobie. Każdy mój uczynek stworzony był przez ciebie, przez myśl o tobie. Same myśli kształtowane były również przez ciebie, przez twoją niewidzialną w nich obecność. W każdej

rzeczy, małej lub wielkiej, musiałam zmieścić i znaleźć ciebie.

— Nie miałem zamiaru narzucać takiego niewolnictwa — szepnął.

— Nie narzucałeś nic. Zawsze zostawiałeś mi wolną wolę, sam będąc najposłuszniejszym niewolnikiem. A jeśliś zdecydował coś za mnie, nie obraziłeś mnie tem nigdy. Zgadywałeś moje życzenia w sposób tak naturalny, jakby to były twoje własne. Wszystko, coś czynił dla mnie, stawało się konieczne i nieuniknione. Nie poniżyłeś mnie nigdy, powtarzam. Nie byłeś nadskakującym wielbicielem. Nie robiłeś ostentacji. Widzisz — zdawało się, że wogóle nie robiłeś nic. Ale wszystko stawało się dla mnie, jakgdyby taki właśnie był naturalny porządek rzeczy.

Moje niewolnictwo było niewolnictwem miłości. To miłość dla ciebie pochłaniała dni. Tyś nie narzucał się świadomie moim myślom. Aleś ję opanował, jak mocno — nie dowiesz się nigdy.

W miarę jednak jak czas mijał, Ciotka i Wuj poczęli cię nie lubić. Ogarnęła ich trwoga. Co stanie się ze mną? Rozbijałeś zwolna moje życie. Chociażby muzyka. Sam wiesz, jak znikły moje marzenia o wirtuozostwie. Tej wiosny, kiedym cię spotkała, miałam lat dwadzieścia i wybierałam się właśnie do Niemiec dla wykończenia swych studjów. Minęły cztery lata — wciąż jeszcze jestem w Kalifornji.

Otaczali mnie inni młodzi ludzie. Odpędziłeś ich wszystkich — nie! nie! nie tak chciałam się wyrazić! To ja sama ich odrzuciłam. Nie dbałam o wielbicieli, nie dbałam o nikogo na świecie, kiedyś ty był blisko. Jednakże — jakem powiedziała — Wuj i Ciotka zaniepokoili się. Ludzie zaczęli gadać, przyjaciele za-

częli się wtrącać, jak to zwykle. Lata mijały. Tyś milczał. Co do mnie — dziwiłam się tylko. Wiedziałam przecie, że mnie kochasz. Najpierw Wuj, potem Ciotka mówili o tobie wiele złego. Wiesz, że oni są dla mnie jak matka i ojciec. Nie miałam czym bronić ciebie. A przecież — pozostałam lojalna w stosunku do ciebie: odmówiłam wszelkiej dyskusji na ten temat, oświadczyłam, że ci ufam i na tem przerwałam rozmowę. W domu doszło niemal do zerwania. Wuj chodził jak skazaniec, Ciotka wyglądała tak, że serce bolało patrzeć. Ale cóż ja miałam począć, Chris? Cóż miałam począć?

Chłopak, wciąż jeszcze tuląc głowę do kolan dziewczyny, jęknął zcicha, ale nie odpowiedział nic.

— Ciotka Mildred zastępowała mi matkę. A jednak przestałam przychodzić do niej ze zwierzeniami. Książka mego dzieciństwa została zamknięta. Słodka to była książka, Chris! Łzy napływają mi do oczu, kiedy o niej myślę. Ale to głupstwo. Osiągnęłam wielkie szczęście. Rada jestem, że mogę ci szczerze mówić o swojej miłości. Osiągnięcie takiej szczerości jest już wielkiem szczęściem. Kocham cię, Chris. Kocham.... nie umiem powiedzieć jak bardzo. Jesteś mi wszystkiem — a może czemś więcej jeszcze. Pamiętam tę choinkę urządzoną dla dzieci? Bawiliśmy się w ślepą babkę. Chwyciłeś mnie za ramię, mocno, ot tak, że krzyknęłam z bólu. Nie mówiłam ci o tem nigdy, ale ramię było boleśnie zgniecione. Sprawiło mi to przecież taką słodką radość, o jakiej nie marzyłam nigdy. Tu, na ciele, czarne i niebieskie widniały ślady twoich palców — twoich palców, Chris. Twoje dotknięcie stało się widzialne. Pozostało z tydzień. Całowałam je tak często, tak często. Gniewa-

łam się, kiedy poczęły znikać. Chciałabym móc je utrzymać. Nienawidziłam tej białości, która powracała, żeby mi je odebrać. Nie, nie umiem wytłomaczyć — kochałam cię tak bardzo!

W milczeniu, które zapadło, nie przestawała gładzić męskiej głowy łagodnemi palcami, patrząc tkliwie na dużą, szarą wiewiórkę, ruchliwą a wesołą, skaczącą tam i sam po rudawych pniach. Piękny dzięcioł o malinowym czubku kujący energicznie spróchniały pień odwrócił i zatrzymał jej uwagę. Mężczyzna nie podnosił głowy, raczej tulił ją coraz rozpaczliwiej. Miarowy ruch ramion znaczył ciężkość oddechu.

— Musisz powiedzieć mi prawdę, Chris — powiedziała łagodnie dziewczyna. — Ta tajemnica jest zabójcza. Chcę wiedzieć czemu nie możemy się pobrać. Czyż zawsze zostanie tak jak teraz? Kochamy się, widujemy się często, to prawda. Ale te długie przerwy pomiędzy widzeniami? Czyż życie nie ma już dla nas większego szczęścia, Chris? Czyż nigdy nie będziemy bardziej jedno dla drugiego? O, ja wiem jak słodko jest kochać zdaleka. Wiem — umiałeś nauczyć mnie tego wielkiego szczęścia; ale czasem — czasem człowiek staje się spragniony i głodny. Chcę coraz więcej i więcej ciebie, Chris. Chcę ciebie całego. Chcę ciebie kolegi, towarzysza, przyjaciela. Chcę całych twoich dni, wszystkich godzin. Nie możemy osiągnąć tego teraz. Musimy się pobrać! — Schwytała oddech. — Ale — ale nie pobierzemy się nigdy. Zapomniałam. I teraz właśnie masz mi powiedzieć dlaczego.

Mężczyzna podniósł głowę i popatrzał w oczy

dziewczęce. Miał zwyczaj patrzenia zawsze prosto w oczy mówiąc do kogokolwiek.

— Owszem, brałem cię zawsze pod uwagę, Lute — zaczął ponuro. — Od samego początku. Nie powinienem był przeciągać struny. Należało odejść. Miałem w sobie tę świadomość, a przecież... nie odszedłem. Mój Boże! Cóż miałem począć? Kochałem cię. Nie mogłem odejść. Nie było na to rady. Zostałem. Wbrew tylokrotnym, tylokrotnie łamanym postanowieniom. Postępowałem jak nałogowy pijak. Byłem pijany tobą. Byłem słaby, wiem o tem. Nie miałem siły. Nie odszedłem. Probowałem przecież. Odjechałem raz — pamiętasz? — chociaż nie wiedziałaś czemu. Teraz wiesz. Odjechałem daleko — ale nie zdołałem daleko pozostać. Wiedząc, że nie możemy się pobrać — wróciłem do ciebie. I znowu potem z tobą. Odeszlij mnie precz, Lute. Odepchnij. Nie mam siły odejść sam.

— Ale czemuż mam cię odpychać? — zawołała. — Muszę przecież wiedzieć, zanim to uczynię.

— Nie pytaj.

— Powiedz! — odrzekła rozkazująco, choć tkliwie.

— Nie, Lute, nie zmuszaj mnie! — Bronił się mężczyzna, błagając oczyma i głosem.

— A jednak musisz — nalegała. — Należy mi się ta sprawiedliwość.

Zawahał się. — Jeżeli powiem... — zaczął. Potem dokończył gwałtownie, z determinacją. — Nie potrafię nigdy przebaczyć samemu sobie. Nie, nie mogę ci powiedzieć. Nie probuj mnie zmuszać. Będzie ci tak ciężko... jak mnie.

— Jeżeli coś jest naprawdę... jeżeli istnieją przeszkody... jeżeli ta tajemnica rzeczywiście nie pozwala... — mówiła zwolna dziewczyna, szukając ostrożnie ram słowa dla myśli, którą chciała wyrazić. — Chris, ja cię kocham. Kocham cię najgłębiej, jak kochać może kobieta. Pewna jestem tego. Jeżeli powiesz mi „pójdź ze mną" — pójdę z tobą. Pójdę wszędzie, gdzie zaprowadzisz. Mogłabym iść za tobą jak paź, jak niejedna z tych dam średniowiecznych, co podążały w dalekie kraje w ślad za swoim rycerzem. Jesteś moim rycerzem, Chris i nie możesz uczynić nic złego. Twoja wola jest mojem życzeniem. Swego czasu liczyłam się z opinją świata. Teraz, kiedyś ty wszedł w moje życie, nie boję się już niczego. Śmiać się będę ze świata dla ciebie — i dla siebie. Śmiać się będę — bo ty będziesz mój. A ty jesteś mi więcej niż świat i jego opinja. Jeśli powiesz „chodź" — pójdę.

— Nie mów tak! Nie mów! — wykrzyknął. — To niemożliwe! Małżeństwo czy nie małżeństwo — nie mogę nawet powiedzieć ci „chodź". Nie śmiem. Dowiodę ci tego. Powiem wszystko.

Podniósł się, usiadł przy niej. Każdy ruch pełen miał decyzji. Wziął rękę dziewczyny i trzymał mocno. Wargi poruszały się na samej granicy słów. Tajemnica zadrżała na brzegu wypowiedzenia. Powietrze zdawało się tętnić jej obecnością. Dziewczyna wyprostowała się nagle, zesztywniała jak do wysłuchania wyroku. Ale mężczyzna milczał, patrząc narazie przed siebie. Poczuła, że ręka jego mięknie, więc uścisnęła ją mocno, jak dla dodania odwagi. Po chwili sztywność nerwowego napięcia opuściła jego ciało i dziewczyna pojęła, że duch osłabł wraz z mię-

śniami. Decyzja powzięta zachwiała się znowu. Już nic nie powie — wiedziała. I wiedziała również, z nieomylnością wiary, iż nie powie, dlatego tylko, że nie może.

Patrzała rozpaczliwie przed siebie, z tępym bólem w sercu, jak gdyby szczęście i nadzieja odeszły razem i nazawsze. Widziała jak słońce zniża się pośród rudawych, lśniących pni. Ale widziała nieświadomie, mimowoli. Patrzała na otoczenie z daleka, obojętnie, niczem widz bezmyślny, nie zaś żywa cząstka spraw, dziejących się na ziemi: spraw drzew i kwiatów, tak bardzo dotychczas kochanych.

Poczuła się tak odległą od miejsca w którem żyła, że aż nagle przyglądać mu się poczęła z ciekawością nieomal bezosobową. W niedalekiej perspektywie widziała jakieś drzewko w pełnym kwiecie, jak gdyby poraz pierwszy w życiu napotkane spojrzeniem. Nieco dalej trafiły oczy na żółtą kępkę bujnych jaskrów, (zwanych latarkami Diogenesa), rosnących na skraju polanki. Kwiaty sprawiały jej zawsze przyjemność tak żywą, że aż przechodzącą w dreszcz zachwytu. Tym razem dreszcz nie nadszedł. Ważyła piękno kwiatów ciężkiem, przeciągłem, zamyślonem spojrzeniem niby człowiek pijany haszyszem, który przygląda się niespodziewanej wizji. Słuch miała pełen szmeru potoku — starego sennego, schrypniętego olbrzyma, — który szepcze i opowiada bajkę swego snu. Lecz nie zdołał zbudzić marzeń w dziewczynie; słyszała plusk wody po kamieniach głębokiego dna wąwozu — nie dosłyszała nic więcej.

Spojrzenie odeszło w dal, minąwszy żółte latarki kwiecia. Po kolana w dzikich trawach wzgórza brodziły i pasły się dwa konie, złociste kasztany, znako-

micie dobrane i lśniące w słońcu ciepłą barwą złota; wiosenna gładkość ich skóry mieniła się na wygięciach krągłych mięśni istnemi klejnotami tęczowych skier. Dziewczyna pojęła nagle — nieomal ze wstrząsem — że oto właśnie Dolly, jej kochana klaczka, towarzyszka lat młodzieńczych i kobiecych, na szyi której wypłakała tyle zmartwień, wyśpiewała tyle radości. Nieczekane łzy napłynęły do oczu na ten widok; czuła, że powraca z dalekości swego otępienia, by stać się znowu cząstką świata — namiętności pełna i cierpienia.

Mężczyzna pochylił się nagle i z głuchym jękiem zmęczenia padł głową na kolana kobiety. Schyliła się nad nim i lekko lecz przeciągle dotknęła ustami włosów.

— Chodź już, pora jechać—powiedziała szeptem. Chwyciła powietrze w pół-łkaniu, ale, wstając, zacisnęła wargi decyzją spokoju. Twarz mężczyzny była niesamowicie blada, tak mocno wstrząsnęła nim walka przebyta. Nie patrzyli na siebie. Szli prosto do koni. Lute przylgnęła do szyi Dolly, podczas gdy Chris naciągał popręgi. Potem zebrała cugle i czekała. Chris, pochylając się, spojrzał ku niej błagalnie, jakby prosząc o przebaczenie.

Oczy jej odpowiedziały natychmiast. Oparła nóżkę o jego dłoń i skoczyła na siodło. Nie rozmawiając już i nie patrząc ku sobie, zawrócili konie i zjeżdżać poczęli zwolna stromym szlakiem, biegnącym poprzez ciemń lasu i jasność polan ku rozległym łąkom niskiej doliny. Szlak przeszedł w ścieżkę, potem w drogę leśną, która wkrótce wbiegła na łąki; kłusowali teraz po łagodnych, trawą porosłych typowo kalifornijskich wzgórzach. Płot z tyczek, niby zamknięty szlaban

dzielił łąkę od wielkiej drogi publicznej, biegnąc dnem doliny. Panna wstrzymała konia, towarzysz p śpieszył podnieść drążki na chwilę przejazdu.

— Nie! Poczekaj! — zawołała zanim dotknął t czki. Pchnęła klacz na przeszkodę. Zwierzę po pa długich susach wspięło się ponad płot i przesadzi go czystym, drobnym skokiem. Oczy mężczyzny bł snęły. Zaklaskał w dłonie.

— Ty śliczna! Ty śliczna! — wołała dziewczyn chyląc się w siodle i namiętnie tuląc do końskiej sz policzek, zrumieniony w słońcu jak owoc.

— Na powrotną drogę zamienimy konie, dobrze — zaproponowała, kiedy przeprowadził swego wierz chowca i ułożył tyczki płotu. — Zawsze niedoceniałe Dolly.

— Nie, bynajmniej — protestował.

— Uważasz, że jest za stara, za spokojna — na stawała Lute. — Ma tylko szesnaście lat i prześcigni niejednego dziesięciolatka. Zato nigdy nie ponosi Jest na to za poważna. Stanowczo jej nie doceniasz, tak, tak, nie przecz, mój panie. Wiem o tem dobrze, wiem również, że Dolly pobije bez trudu twego prze-chwalonego Washoe Ban. Posłuchaj! Wyzywam cię! Co gorzej, sam musisz jechać na Dolly. Wiesz co po-trafi Ban, wobec tego musisz dosiąść Dolly i sam prze-konać się, co potrafi ona.

Zaczęli natychmiast zmieniać siodła, radzi z roz-rywki i przedłużając ją umyślnie.

— Jak to dobrze, że urodziłam się w Kalifornji! — zauważyła Lute, siedząc już na grzbiecie Bana. — Jazdę na damskiem siodle uważam za ubliżenie zarówno dla kobiety jak dla konia.

— Wyglądasz jak młoda Amazonka — powiedział z uznaniem Chris, objąwszy postać dziewczyny zakochanem spojrzeniem.

— Gotowyś? — rzuciła.

— Najzupełniej!

— Do starego młyna! — krzyknęła, spinając konia. — Będzie około mili.

— Wyścig? — zapytał.

Skinęła głową. Konie, mocno zebrane w pysku i ukłute ostrogą poczuły smak wyścigu. Pył owinął ich chmurą na miękkiej, płaskiej drodze. Przelecieli zakręt, konie rozpłaszczone w galopie, jeźdźcy pochyleni ku szyjom wierzchowców dla ochrony przed zwisłemi gałęźmi drzew. Zatupotali po deskach małego mostku, zagrzmieli podkowami po wielkim moście żelaznym.

Jechali teraz obok siebie, oszczędzając konie na finisz, a jednak trzymając je ciągle w tęgim kłusie. Droga owinąwszy sobą kępę srebrnych topoli, wyprostowała się na przestrzeni kilkuset yardów. U jej końca widniały ruiny starego młyna.

— Już! — krzyknęła dziewczyna.

Rzuciła się w galop, pochyliwszy w siodle. Równocześnie krótkim ruchem prawej ręki poklepała konia po szyi. Natychmiast odsadziła się od mężczyzny o dobre kilka kroków.

— Poklep ją po szyi! — rzuciła poza siebie.

W tejże chwili klacz doścignęła przeciwnika, poczem natychmiast poczęła go wyprzedzać. Chris i Lute spojrzeli na siebie przez sekundę. Klacz wyprzedzała nadal. Po chwili Chris oglądał się już na dziewczynę. Młyn był o sto yardów.

— Czy można mu dać ostrogę? — huknęła Lute.

Chris skinął głową. Dziewczyna spięła konia gwałtownie, podniecając go jeszcze okrzykiem; widziała jednak jak własna jej klacz odsadza się coraz dalej.

— Wygrała o trzy długości! — zatryumfowała Lute, kiedy minięto młyn i zwolniono w spokojny truchcik. — No, przyznaj, mój panie, przyznaj! Nie przypuszczałeś, że stara klacz tyle jeszcze potrafi.

Lute pochyliła się w bok i przez krótką chwilę oparła się na spoconej szyi Dolly.

— Tak, Ban jest nudziarz w porównaniu z Dolly — przyznał Chris. — Klacz jest jeszcze wspaniała. Lato w rozkwicie.

Lute skinęła potwierdzająco. — Tak, właśnie: lato w rozkwicie. To ją doskonale określa. Nie jest wcale leniwa, ma w sobie cały ogień, ale nie z szaleństwa. Przytem mądra, bo już niemłoda.

— Możliwe — rozwlekał Chris. — Szały minęły wraz z młodością. Ale swego czasu musiała cię wymęczyć.

— Nie — odrzekła Lute. — Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek poniosła naprawdę. W jednym tylko wypadku miewałam z nią kłopot: kiedy chciałam wjechać w otwartą bramę. Bała się, jeśli poza nią zamykano bramę — strach zwierzęcia przed pułapką, zapewne. Ale zato wspaniale przesadzała zamknięte bramy. Nie miała też nigdy żadnych narowów. Nie kopała, nie kąsała, nie stawała dęba. Nigdy — ani razu.

Konie szły stępa, wciąż jeszcze ciężko dysząc po wyścigu. Droga biegła dnem doliny, coraz to przecinając strumień. Z obu stron słychać było monotonny brzęk kosiarek, przerywany ostremi wykrzykami

ludzi, zbierających pokos. Z zachodniej strony doliny, pagórki widniały zielone i ciemne od gęstej trawy — lecz strona wschodnia przepalona już była na bronzowo i złoto.

— Tu wiosna, tam lato — zauważyła Lute. — O, piękna Dolina Sonomy!

Twarzyczka rozpromieniała, lśniły oczy miłością ziemi. Spojrzenie błądziło po grupach sadów, po jasnych pasmach winnic. Purpurowy odblask niskiego już słońca zdawał się gęstnieć niby dym w załomach wzgórz i w odległych gardzielach kanjonów. Wyżej, pośród większych gór, których strome zbocze porastała manzanita, Lute dostrzegła polankę, gdzie dzikie bogactwo traw zachowało jeszcze wiosenną świeżość zieloności.

— Słyszałeś kiedy o tajemniczem pastwisku? — zapytała towarzysza, nie spuszczając oczu z dalekiego poletka zieleni.

Chrapliwy ryk konia oderwał nagle jej spojrzenie i przeniósł je na jadącego poza nią mężczyznę. Dolly, wspięta na zadzie, biła gwałtownie powietrze przednimi nogami. Chris z całych sił przylgnął do szyi klaczy, żeby nie zwaliła się w tył, jednocześnie zaś spinał ją ostrogami, żeby zmusić do ruszenia naprzód, a przez to samo do mimowolnego postawienia na ziemię przednich nóg.

— Dolly! Cóż to znowu? — zaczęła Lute z wyrzutem. Nagle, ku najwyższemu jej zdziwieniu, klacz schyliła głowę do ziemi, łukiem wygięła grzbiet i wyrzucać poczęła zad w powietrze, sztywnemi nogami bijąc o ziemię.

— Najprawdziwszy kozioł! — krzyknął Chris. W tej chwili klacz stanęła dęba poraz drugi.

Lute patrzała, zdumiona niebywałem zachowaniem klaczy a zarazem oczarowana męską umiejętnością władania koniem. Chris był nietylko spokojny, ale najoczywiściej rad z przygody. Jeszcze dobre kilka razy Dolly ciskała się wygięta w łuk, zebrana w sobie i sztywnymi nogami waląca o ziemię. Wreszcie podniosła głowę, stanęła dęba i tańcząc, biła przedniemi nogami o powietrze — Lute skręciła swego wierzchowca w bezpieczne miejsce, zdołała spojrzeć w oczy Dolly. Dostrzegła w nich ślepe szaleństwo zwierzęcego przerażenia. Zdawało się, że oczy wyjdą z orbit, wytrysną z czaszki. Delikatna różowość białek znikła, zastąpiona przez marmurową biel, płonącą teraz jakgdyby ogniem wewnętrznym.

Cichy okrzyk trwogi wymknął się z pomiędzy warg dziewczyny w krótkiej chwili utraty panowania nad sobą. Jedna tylna noga klaczy zdawała się odmawiać posłuszeństwa, i przez chwilę całe ciało, wzniesione i prostopadle chwiało się wtył i wprzód, jakby w wahaniu, w którą stronę runąć. Mężczyzna, wyrwawszy nogi ze strzemion i zwiesiwszy się u boku konia, żeby w każdej chwili móc zeskoczyć — całym ciężarem parł ku przodowi. To przeważyło straszliwe wahadło — klacz przedniemi nogami uderzyła o ziemię.

Nie przyniosło to jednak ulgi. Dolly wyprężyła głowę ku górze, tak, że linja pyska stała się jakby przedłużeniem szyi. To umożliwiło klaczy wyrwanie uzdy. Rzuciła się przed siebie jak szalona, ponosząc wzdłuż drogi.

Poraz pierwszy Lute przeraziła się naprawdę. Spięła Washoe Ban'a ostrogą, poczęła gonić, ale nie sposób było sprostać oszalałej klaczy, która oddalała

się coraz bardziej. Lute dojrzała znowu zad Dolly wyrzucony ku górze i dościgła ją właśnie w chwili, kiedy klacz rzucała się w powietrze poraz drugi. Na jakimś zakręcie Dolly stanęła jak wryta na zesztywniałych nagle nogach. Lute dostrzegła, że Chris spada z siodła, zepchnięty przez nagły wstrząs. Nie dał się jednak strząsnąć na ziemię i kiedy klacz ruszyła znowu naprzód, chłopak przylgnął do jej boku, jedną ręką wczepiony w grzywę, jedną nogę zarzuciwszy na siodło. Gwałtownym wysiłkiem usiadł znowu i raz jeszcze probował opanować nieprzytomną klacz.

Dolly jednak skręciła z drogi i rwać poczęła poprzez pagórki, pokryte niezliczonym żółtym kwiatem lilji mariposa. Stary płot napotkany po drodze nie stanowił przeszkody. Przerwała się przezeń jak przez pajęczynę i znikła w gęstwinie pobliskich krzaków. Lute goniła nieustannie, skierowawszy Bana na przerwane miejsce płotu i zanurzając się wraz z koniem w gęstwinę. Przylgnęła płasko do szyi wierzchowca, żeby uniknąć szarpania o gałęzie. Poczuła, że koń przerywał się przez liściastą gąszcz, aż wpadł nagle w chłodny żwir potoku. Z pobliża dochodził zgrzyt podków o kamienie i pluskanie wody. Dostrzegła Dolly wspinającą się na niewysoki brzeg i rwącą prosto ku grupie rosochatych dębów, o których pnie probowała zdrapać ze siebie jeźdźca.

Lute sforsowała również brzeg i również dosięgła drzew, ale zaraz potem została beznadziejnie zdystansowana na kawałku zoranego pola, poprzez które klacz rwała dzikim cwałem, z wspaniałem lekceważeniem grząskości gruntu i nierówności skib. Kiedy potem nagle pod ostrym kątem skręciła znowu w gęstwinę, Lute skierowała konia po przekątnej, ominęła

lasek i pierwsza znalazła się po drugiej stronie. Z głębi gęstwiny dochodziło straszliwe łamanie krzewów i gałęzi. Poczem klacz przerwała się na otwartą przestrzeń i trafiłszy na miękką ziemię wycieńczona runęła na kolana. Wstała, zachwiała się, skoczyła jeszcze parę kroków wprzód, poczem zwolna cichła, leniwiała — aż stanęła. Zlana potem przerażenia i wysiłku, dygotała żałośnie.

Chris siedział uparcie na grzbiecie. Koszula zwisała mu w strzępach. Boki ramion miał pokrwawione, twarz zaś dosłownie zalaną krwią z niewielkiej ranki koło skroni. Lute panowała nad sobą doskonale, w tej chwili jednak poczuła, że cała dygoce z wycieńczenia i lada chwila zemdleje.

— Chris! — wyrzekła cichutkim szeptem. Potem westchnęła: — Dzięki Bogu!...

— Wszystko dobrze! — krzyknął ku dziewczynie z całą otuchą na jaką zdobyć się zdołał. Niewiele miał jej jednak, bo sam żył jeszcze niemałem napięciem nerwowem.

Poddał się reakcji wtedy dopiero, kiedy zeskoczył z siodła. A raczej sprobował zeskoczyć, bo zsunął się tylko i oparł całym ciężarem o szyję równie osłabionej klaczy. Lute śmignęła z siodła i objęła go ramionami pełnemi ciepła i wdzięczności.

— Tu niedaleko jest źródło — powiedziała po chwili.

Zostawili konie nieuwiązane i dziewczyna poprowadziła chłopaka w chłód pobliskiej gęstwiny, gdzie kryształowe źródełko tryskało ze stoku wzgórza.

— Mówiłaś przecie, że Dolly nigdy nie ponosi?—

zagadnął, kiedy krew została zatamowana, a puls i nerwy wróciły do normalnego stanu.

— Jestem zdumiona — odrzekła Lute. — Sama nic nie rozumiem. Coś podobnego nie zdarzyło jej się przez całe życie. Przytem wszystkie zwierzęta tak ciebie lubią. Dolly to typowy koń dla grzecznych dzieci. Dano mi ją kiedy byłam małą dziewczynką i aż do dnia dzisiejszego...

— Tak, dzisiaj była czem chcesz, tylko nie koniem dla grzecznych dzieci — przerwał Chris. — Była istnym szatanem. Próbowała zerwać mnie z siodła o drzewa, albo rozbić mi głowę o pień. Pakowała się na najgorszą drogę, na najbardziej strome zbocza. A gdybyś widziała jak się przeciskała przez gąszcz! Zauważyłaś to stawanie dęba, to bicie zadem?

Lute skinęła głową.

— Najoczywistrzy napad szaleństwa.

— Ależ ona nie wiedziała nigdy co to znaczy stanąć dęba! — zawołała Lute.

Wzruszył ramionami. — Może ożyły jakieś zapomniane instynkty.

Dziewczyna zerwała się nagle na równe nogi. — Muszę to zbadać. Muszę sprawdzić — powiedziała.

Wrócili do koni i poddali klacz najszczegółowszym oględzinom. Nie znaleźli nic podejrzanego. Podkowy, nogi, uzda, pysk, całe ciało — wszystko wyglądało tak, jak powinno. Siodło nie kłuło, nie drapało; grzbiet był gładki i nieodparzony. Szukali więc śladu ukąszenia żmii albo bąka — nie znaleźli nic.

— W każdym razie coś nader subjektywnego — mruknął Chris.

— Opętanie — poddała pół-serjo Lute.

Roześmieli się na tę myśl, byli bowiem oboje dziećmi dwudziestego stulecia, rozsądnemi i normalnemi, znającemi pogoń motyla za ideałem, ale cofającemi się z pogardą przed dziedziną przesądów i tajemnych wierzeń.

— Tak, napewno zły duch — śmiał się Chris. — Ale cóżem to złego uczynił, że tak mię prześladuje?

— Za wysokie masz o sobie wyobrażenie, mój panie — dodała dziewczyna. — Ów zły duch prześladuje raczej Dolly za jakieś grzechy. Ty byłeś w to tylko wmieszany przypadkiem. Mogłam ja właśnie siedzieć na jej grzbiecie, albo ciotka Mildred.

To mówiąc chwyciła strzemię i poczęła je skracać.

— Co robisz?

— Skracam strzemię, bo teraz na Dolly wrócę ja.

— O, wykluczone! — oświadczył Chris. — To byłaby bardzo zła metoda. Po tem co zaszło nikt inny prócz mnie nie może wsiąść na tę klacz.

Lecz klacz była tym razem bardzo litości godna. Stawała, potykała się, to znów wstrząsała nerwowym dreszczem, przebiegającym wszystkie mięśnie. Owładnęła nią reakcja po straszliwym spazmie przez który przeszła.

—Czuję się teraz jak w hamaku z książką, po tem wszystkiem co zaszło — powiedziała Lute, kiedy wrócili na letnisko.

Było to letnisko, a raczej letnie obozowisko ludzi zmęczonych miastem. Wielki namiot rozpięto na polanie leśnej. Poprzez gałęzie drzew przesiewało się słońce nie gorącymi iskrami i niezbyt chłodnym cieniem. W pewnej odległości od głównego namiotu

stał szałas - kuchnia i mieszkania służby, w samym zaś środku polany wznosiła się wielka płócienna jadalnia, podparta kolumnadą żywych drzew, przewiewna i osłoniona zielonymi konarami.

— Biedna Dolly, naprawdę jest chora — powiedziała Lute wieczorem, kiedy raz jeszcze odwiedzili klacz. — Ale zato ty jesteś zdrów, Chris, a to zupełnie wystarczy pewnej małej kobietce. Myślałam, że już wiem czem jesteś dla mnie, ale okazało się, że nie wiedziałam aż do dzisiaj. Słyszałam tylko borykanie się w gęstwinie, ale nie mogłam cię dojrzeć ani przekonać się jak idzie walka, ani pomóc.

— Moje myśli były z tobą i dla ciebie — odrzekł Chris i poczuł uścisk maleńkiej rączki, którą trzymał w dłoni. Dziewczyna podniosła głowę i ustami spotkała usta męskie.

— Dobranoc — szepnęła.

— Kochana ty, kochana moja — pieścił ją głosem, odchodzącą pocichu w ciemność.

— Kto jedzie na pocztę? — wołał głos kobiecy z pomiędzy drzew.

Lute zamknęła czytaną książkę i westchnęła.

— Dzisiaj nie mieliśmy jechać konno — powiedziała.

— Pozwól mi jechać — zaproponował Chris. — Zostań w domu. Wrócę w mig.

Potrząsnęła głową.

— No, więc któż jedzie na pocztę? — nalegał głos.

— A gdzie jest Martin? — odkrzyknęła w odpowiedzi Lute.

— Nie wiem — zabrzmiał głos. — Przypuszczam,

że Robert zabrał go ze sobą. Kupować konie, łowić ryby — bo ja wiem zresztą. Niema naprawdę nikogo prócz Chrisa i Ciebie. Przejażdżka doskonale wam zrobi przed obiadem. Cały dzień odpoczywałaś w hamaku, a przecież Wuj Robert musi mieć swoją gazetkę.

— Dobrze Cioteczko, już ruszamy — zawołała Lute, wstając z hamaku.

W kilka minut potem, przebrani do konnej jazdy, siodłali wierzchowce. Wyjechawszy na trakt skręcili ku Glen Ellen. Maleńka osada drzemała w złotem słońcu popołudnia. Niemniej poczciarz zdołał jednak ocucić się do tego stopnia, żeby wybrać dla klijentów paczkę listów i gazet.

W godzinę później Lute i Chris skręcili z głównej drogi na małą ścieżynę, wiodącą z wysokiego brzegu ku rzeczce. Chcieli napoić konie przed powrotem do obozu.

— Dolly wygląda, jakby zapomniała o wczorajszej przygodzie — powiedział Chris, kiedy wprowadzili konie po kolana w bieżącą wodę. — Spójrz na nią.

Klacz podniosła głowę i nastawiła uszy na kwilenie przepiórki w gęstwinie. Chris pochylił się i pogładził ją za uszami. Zadowolenie Dolly było oczywiste. Schyliła głowę a potem założyła ją na szyję Bana, którego dosiadał Chris.

— Zupełnie jak rozpieszczony kot — zauważyła Lute.

— A jednak nigdy już nie będę miał do niej pełnego zaufania po wczorajszym szaleńczym wybryku — odrzekł Chris.

— Ja też mam wrażenie, że jesteś bezpieczniejszy na grzbiecie Bana — zaśmiała się Lute. — To dziwne. Moja wiara w Dolly jest równie niezachwiana jak zawsze, ale ufam jej tylko o ile chodzi o mnie samą. Ciebie wolałabym już nigdy nie widzieć na tej klaczy. Zato Banowi ufam bez zastrzeżeń. Spójrz na tę szyję. Czyż to nie piękny koń! Będzie równie mądry jak Dolly, kiedy dojdzie do jej wieku.

— Ja czuję to samo — odrzekł z uśmiechem Chris. — Ban nie zdradzi mnie nigdy.

Wycofali konie z potoku. Dolly zatrzymała się chwilę, żeby nosem spędzić muchę z kolana, zato Ban pośpieszył odrazu stromą ścieżką pod górę. Za ciasno tu było, żeby go zawracać, więc Chris pozwolił mu iść naprzód. Lute, jadąc z tyłu, pieściła oczyma postać kochanego mężczyzny, ciesząc się pięknością nagiej szyi i szlachetnego spadku ramion. Nagle dziewczyna zdarła cugle. Pozostawało jej tylko patrzeć, tak błyskawicznie krótko trwało to zdarzenie. Przed jeźdźcami i poza nimi był brzeg urwisty i stromy, po którym się wspinali. Ścieżka starczała doskonale dla jednego konnego. Pomimo to, Washoe Ban zaniepokoił się nagle, skulił, stanął dęba i przez chwilę zawisłszy w powietrzu — runął wstecz.

Stało się to tak nagle i tak niespodziewanie, że Chris nie zdążył zeskoczyć i został wplątany w katastrofę. Padał już, zanim zdołał to sobie uprzytomnić. Uczynił więc jedyną rzecz możliwą: wyrwał nogi ze strzemion i cisnął się całem ciałem w powietrze — w bok i w tył jednocześnie. Do kamienistego dna parowu było ze dwanaście stóp. Chris, padając

zachował pozycję pionową. Głowę trzymał prosto, oczy utkwił w padającego nań całym ciężarem konia.

Spadł na nogi jak kot, w tejże sekundzie uskakując w bok. Natychmiast potem — Ban runął na grzbiet. Nie miotał się nawet, nie szarpał. Wyrzucił tylko z siebie głos potworny niby krzyk lub jęk — głos zwierzęcia ugodzonego śmiertelnie. Runął prosto na krzyż i tak pozostał, z głową podciągniętą skurczem szyi i bezwładnemi tylnemi nogami, bijąc przedniemi powietrze.

Chris spojrzał ku górze pocieszająco.

— O, zaczynam już nawykać do katastrof — uśmiechnęła się Lute, spoglądając wdół. — Wyobrażam sobie jak bardzoś się potłukł! Czem mogę ci pomóc?

Uśmiechnął się tylko i podszedł do powalonego zwierzęcia, żeby rozpiąć popręgi i uwolnić głowę od uzdy.

— Tak przypuszczałem — wyrzekł, po dokładnem zbadaniu. — Odrazu tak myślałem. — Czy słyszałaś ten okropny trzask kości?

Zadrżała.

— To był ostatni głos jego życia, jego użytecznego żywota. — Chris szedł zwolna ścieżką ku górze. — Ostatni raz dosiadłem swego Bana. Cóż, chodźmy do domu.

Ze szczytu wysokiego brzegu Chris obejrzał się jeszcze i spojrzał wdół.

— Żegnaj, Washoe Ban! — zawołał zcicha. — Żegnaj stary przyjacielu!

Koń probował podnieść głowę. Chris miał łzy w oczach. Odwrócił się gwałtownie lecz spotkał spoj-

rzeniem wilgotne źrenice Lute. Milcząca była we współczuciu, lecz mocno ścisnęła rękę chłopca idąc obok niego wślad za Dolly po piaszczystej drodze.

— To było zrobione umyślnie! — wybuchnął nagle Chris. — Nie było żadnego powodu do przestrachu. Koń poprostu sam rzucił się tyłem z urwiska.

— Tak, nic go nie przestraszyło — przyznała Lute. Patrzałam cały czas. Widziałam jak skręcił się i rzucił jednocześnie. Wyglądało to tak, jakbyś ty sam to zrobił nagłym ściągnięciem mundsztuka.

— Moja ręka nic tu nie zawiniła, przysięgam, nawet nie myślałem o mundsztuku. Koń szedł zupełnie luźno, jakby bez jeźdźca.

— Tak, byłabym zauważyła, gdybyś ty to zrobił — odrzekła Lute. — Tymczasem wszystko stało się już, zanim cokolwiek zdołałeś uczynić. To nie był czyn twojej ręki, nawet twojej nieświadomej ręki.

— Był to więc czyn jakiejś ręki niewidzialnej, sięgającej niewiadomo skąd.

Spojrzał wesoło ku niebu i uśmiechnął się z własnego żartu.

Martin wyszedł na spotkanie żeby odebrać Dolly. Twarz jego nie wyraziła bynajmniej zdziwienia na widok Chrisa, wracającego pieszo. Chris umyślnie nieco pozostał ztyłu, żeby nie wejść razem z Lute.

— Potraficie zastrzelić Bana? — zapytał.

Stajenny skinął głową, poczem dodał: „Tak jest proszę pana" — schyliwszy głowę poraz drugi, niżej.

— Jak to zrobicie?

— Przeciągnąć linję od oczu do uszu, to znaczy do przeciwległego ucha, proszę pana. I tam gdzie linje się skrzyżują...

— Dobrze, wystarczy, — przerwał Chris. —

Wiesz gdzie się poi konie. Otóż tam, przy drugim zakręcie leży Ban ze złamanym kręgosłupem.

*

— O, zjawił się nareszcie szanowny pan. Szukam cię wszędzie od obiadu. Jesteś tu czemprędzej potrzebny.

Chris odrzucił cygaro i zadeptał iskrę.

— Nikomu nie mówiłaś o... o koniu? — zapytał.

Lute zaprzeczyła ruchem głowy. — Zdążą się jeszcze dowiedzieć. Martin napewno wspomni o tem jutro Wujowi. Ale nie martw się zabardzo — dodała po chwili, gładząc jego rękę.

— To był mój źrebak — odrzekł Chris. — Nikt nie dosiadał go prócz mnie i ciebie. Zabiłem go sam! Znałem go od urodzenia. Znałem każdy jego ruch, każde przyzwyczajenie, każdy kaprys. Byłbym dał życie, że on nigdy nie uczyni tego właśnie, co uczynił. Nie było przestrachu, ani szarpania cugli, ani poprzedzającej niesubordynacji. Przemyślałem to szczegółowo. Koń nie miał czasu ani na walkę, ani na nieposłuszeństwo. Nadszedł jakiś impuls — gwałtowny jak piorun — i koń usłuchał go natychmiast. Zdumiony jestem tą szybkością. Już po upływie sekundy lecieliśmy na łeb. To było rozmyślne! Rozmyślne morderstwo. Z góry uplanowany zamach. On był narzędziem. Ja miałem być ofiarą. Byłem w jego mocy, na jego grzbiecie, więc razem ze mną rzucił się w przepaść. A jednak wiem, że nie czuł do mnie nienawiści. Kochał mnie ...jak tylko koń kochać potrafi. Jestem zdumiony i zaskoczony. Nie pojmuję nic, jak ty nie pojmujesz wczorajszego zachowania Dolly.

— Przecież konie podlegają rozmaitym choro-

bom, Chris — powiedziała Lute. — Wiesz o tem. To poprostu zbieg okoliczności, że właśnie dwa konie dzień po dniu zachorowały w twoich rękach.

— Tak, to jedyne wytłomaczenie — zakończył, idąc koło panny. — Ale, powiedz, czemuż jestem tu tak potrzebny?

— Ekierka!

— Aha, prawda. Zdobędę nowe doświadczenie życiowe. Jakoś nie probowałem tego dotychczas, chociaż przez pewien czas trwała na to iście warjacka moda.

— Wszyscyśmy jeszcze nie próbowali — odrzekła Lute. — Prócz pani Grantly, rzecz prosta. To jej ulubiona zabawa, podobno.

— Niesamowite małe stworzenie—dodał Chris.— Czarne oczy i kłębek nerwów. Założyłbym się że nie waży więcej niż dziewięćdziesiąt funtów, przyczem większość tych funtów przypada na magnetyzm.

— Zupełnie złowieszcza... czasami. — wstrząsnęła się mimowoli. — Aż mnie dreszcz przechodzi.

— Zetknięcie zdrowia z tajemniczą nienormalnością — tłomaczył sucho Chris. — Zdrowie zawsze wtedy wstrząsa się ze wstrętu. Nienormalność niezna tego dreszczu. Sprowadza dreszcz na innych. To jej przyrodzona funkcja. Skąd twoja rodzina zna tę panią?

— Nie wiem. Aha, prawda, zresztą wiem. Ciocia Mildred spotkała ją w Bostonie, zdaje się. W każdym razie pani Grantly przyjechała do Kalifornji i odwiedziła ciotkę. Wiesz, że prowadzimy tak zwany dom otwarty.

Zatrzymali się przy wejściu do namiotu-jadalni, pod kolumnadą drzew. Poprzez gałązki przeświecały

gwiazdy. Świece rozjaśniały ciemń namiotu. Wokoło stołu zgromadziło się cztery osoby, pogrążone w obserwację tajemniczego mechanizmu „Ekierki". Chris powiódł spojrzeniem po zebranych i poczuł w sercu skurcz żalu na widok Ciotki Mildred i Wuja Roberta, łagodnych i spokojnych w dojrzałości swych lat i dobrych nędzą dobrocią ludzi, którym życie nie szczędziło goryczy doświadczenia. Swobodnie i nieco ironicznie przyjrzał się wątłej i czarnookiej pani Grantly, poczem zwrócił uwagę na czwartą osobę, tęgiego jegomościa o dużej głowie. Linje skromnie zdawały się przeczyć młodej czerstwości twarzy.

— Kto to? — szepnął Chris.

— Niejaki pan Barton. Pociąg się spóźnił, dlatego nie spotkałeś tego pana na obiedzie. To typowy kapitalista „Przenoszenie siły modnej na daleki dystans zapomocą elektryczności" czy coś w tym rodzaju.

— Pomimo to, nie wygląda mi zbyt sprytnie.

— Bo też nie jest. Kapitały oddziedziczył po ojcu. Ale sprytu ma dość, żeby kapitał utrzymać i żeby cudze mózgi zaprządz do pracy. Jest przytem nader konsekwentny.

— To rozumie się samo przez się — dodał Chris. Poczem wrócił spojrzeniem ku kobiecie i mężczyźnie, którzy zastąpili matkę i ojca jego kochanej dziewczynie.

— Czy wiesz? — wyrzekł — zrobiło mi bardzo żywą przykrość to, coś powiedziała wczoraj, że twoja rodzina mnie nie lubi i że jestem tu zaledwie tolerowany. Wieczorem spotkałem ich z poczuciem winy, nieomal drżąc. Dzisiaj również. A jednak nie mo-

gę dostrzedz żadnej różnicy w sposobie ich postępowania ze mną.

— Kochany chłopcze — westchneła Lute. — Gościność jest im tak samo wrodzona i naturalna jak oddychanie. Zresztą, to nietylko gościnność. To coś, co zależy od Ciebie. Jeżeli nawet osądzają cię bardzo surowo podczas Twojej nieobecności — z chwilą, gdy się zjawisz czują już tylko życzliwość i przyjaźń. Jak tylko cię ujrzą — muszą cię lubić i kochać. Tak już jesteś stworzony. Wszystkie zwierzęta cię lubią. i każdy człowiek. Niemasz na to rady. Lubiany jesteś przez wszystkich wokoło i wcale się o to nie starasz, prawie o tem nie wiesz. Teraz nie wiesz również. Nawet teraz, kiedy ci to mówię. I właśnie owa niezdolność zrozumienia własnego wdzięku jest tem większym wdziękiem. Nie wierzysz mi. Kiwasz głową. Ale ja wiem, bo jestem Twoją niewolnicą. I wszyscy wiedzą, bo wszyscy są twymi niewolnikami.

Za chwilę wejdziemy i przyłączymy się do towarzystwa. Zauważ nieomal macierzyńskie spojrzenie, którem cię ogarnia ciotka. Posłuchaj, jakim tonem się zapyta: „No jakże tam, Chris, mój chłopcze?" Przyjrzyj się jak pani Grantly zacznie się rozpływać, dosłownie rozpływać jak szron na słońcu.

Potem zobaczymy, jak zachowa się pan Barton. Nie widział cię nigdy przedtem. Zaprosisz go zapewne na cygaro, kiedy my wszyscy pójdziemy spać. Ty — nikt. On zaś człowiek siły, człowiek miljonów, człowiek tępy jak wół — pójdzie krok w krok za tobą, jak mały piesek. Twój mały piesek. I będzie palił cygaro, posłusznie i mimowoli. Nie będzie wiedział co i dlaczego czyni — niemniej jednak, uczyni wszystko co zechcesz ty. Czyż nie tak, Chris? O, ja przyglądałam się

temu często, przyjrzałam się dobrze i tak bardzo cię za to kocham, tak bardzo kocham! Zato żeś był tak nieświadomy, tak cudownie i ślepo nieświadomy tego, co czynisz.

— Właściwie powinna mnie rozsadzić pycha po tem, com tu wysłuchał — zaśmiał się Chris, obejmując i przyciągając ku sobie dziewczynę.

— Tak — szepnęła — właśnie teraz, kiedy wyśmiewasz się z tego, co ci powiedziałam, twoja dusza, twoja cała istota, ten Ty najprawdziwszy, przywołuje ku sobie całą swoją miłość.

Przytuliła się bliżej i odetchnęła głęboko, jak ze zmęczenia. Pocałował leciutko jej włosy i trzymał mocno pełnem tkliwości objęciem.

Ciotka Mildred wyprostowała się nagle i spojrzała z ponad ekierki.

— Chodźcie! Zaczynamy! — wołała. — Wkrótce będzie już za zimno. Robert! gdzie te dzieciaki?

— Tu jesteśmy! — odrzekła Lute, wysuwając się z miłych ramion.

— Będzie cała paczka świeżutkich dreszczyków, — szepnął Chris. Weszli.

Przepowiednia panienki, co do sposobu w jaki przyjęty zostanie Chris, sprawdziła się w całej pełni. Pani Grantly, powiewna, wątła, mizerna, promieniejąca tajemniczym jakimś magnetyzmem, miękła i topniała, jakby istotnie była szronem, chłopak zaś — słońcem. Mr. Barton przemówił coś rubasznie a dobrodusznie był pełen wdzięku. Ciotka Mildred przywitała go uśmiechem macierzyńskiej czułości, wuj Robert zaś zagadnął go przyjaźnie: „Cóż, Chris, mój chłopcze, jakże się udała przejażdżka?

Lecz ciotka otuliła się mocniej szalem i poczęła

namawiać do pośpiechu. Na stole leżał arkusz papieru. Na nim wsparta o trzy podstawki widniała trójkątna ekierka. Dwie podstawki stanowiły gładkie łatwe do poruszenia sólniczki. Trzecią podstawką, wprawioną u wierzchołku trójkąta — był ołówek.

— Kto pierwszy- — zagadnął wuj Robert.

Chwila wahania, poczem ciotka Mildred oparła lekko rękę na ekierce i rzekła: „Zawsze musi ktoś pierwszy zrobić ze siebie warjata ku uciesze bliźnich.

— Dzielna niewiasta!—przyklasnął małżonek. — Teraz pani Grantly pokaże nam swoją niezwykłą sztukę.

— Ja? — odparła zagadnięta. — Ja tu nic nie mogę. Tajemnicza siła, nazwij to pan zresztą jak zechcesz, istnieje i działa poza mną i poza wami Czem jest — nie wiem i nie ośmielam się wiedzieć. Ale siła istnieje. Mam na to dowody. I państwo również dowody te zobaczą. Teraz proszę zachować ciszę. Niech pani dotyka ekierki bardzo lekko, ale nie odrywając palców, pani Mildred, i starając się nie posuwać jej z własnej woli.

Ciotka Mildred skinęła głową i stojąc, trzymała rękę na ekierce; reszta towarzystwa otoczyła stół milczącem i pełnem ciekawości kołem. Ale nie działo się nic. Minuty mijały — ekierka pozostała nieruchoma.

— Cierpliwości — radziła pani Grantly. — I proszę nie przeciwstawiać się żadnym wpływom, które pani poczuje. Proszę też nic nie robić wedle własnej woli. Siła musi pracować sama. Wkrótce zacznie działać. Pani poczuje impuls, któremu niepodobna będzie się oprzeć.

— Chciałabym, żeby siła się pośpieszyła — za-

protestowała pani Mildred po pięciu bezczynnych minutach.

— Jeszcze chwileczkę, pani kochana, jeszcze małą chwileczkę — pocieszała pani Grantly.

Nagle ręka ciotki Mildred poczęła poruszać się zlekka. — Lekkie zmieszanie odbiło się na twarzy poważnej pani na widok ruchu ekierki. Ołówek, umieszczony w wierzchołku szeleścił cicho po papierze.

Trwało to drugie pięć minut, poczem pani Story odjęła z wysiłkiem rękę od deseczki i zawołała z nerwowym uśmiechem.

— Nie wiem czy to ja pchałam czy nie ja! Wiem tylko, że czułam się coraz bardziej zdenerwowana, stojąc tak jak głupia pośród waszych uroczystych twarzy.

— Jak kura pazurem — zawyrokował wuj Robert, obejrzawszy starannie zagryzmolony kawałek papieru.

— Istotnie — przyznała pani Grantly. — To zupełnie nie przypomina pisma. Siła nie wywarła jeszcze swego wpływu. Może teraz pan sprobuje, panie Barton.

Gentleman wystąpił naprzód, oczywiście chcąc dogodzić damom i umieścić rękę na ekierce. I przez długie, solidne, pełne poświęcenia dziesięć minut stał tak nieruchomo jak posąg, jak zastygłe wcielenie stulecia pary i elektryczności. Twarz wuja Roberta zaczęła dygotać. Mrugał oczyma, zaciskał wargi, tłumił w gardle głębokie chrapliwe dźwięki.

Wreszcie stracił panowanie nad sobą i ryknął ogromnym śmiechem. Za nim wszyscy, nie wyłączając

pani Grantly. Pan Barton śmiał się również, ale nieco zesztywniał.

— Teraz pańska kolej, panie Story—powiedział.

Wuj Robert wciąż jeszcze roześmiany, podszedł jednak do ekierki, zachęcony przez żonę i siostrzenicę. Nagle twarz jego ściemniała. Ręka poruszyła się wraz z ekierką, ołówek ostro drapał papier.

— Tam do licha! — mruknął. — To ciekawe. Spójrzcie. Ja tego nie robię. Wiem, że tego nie robię. Patrzcie na ruch ręki! Patrzcie.

— Ależ, Robercie, bez głupstw, proszę cię — ostrzegała żona.

— Powiadam ci że ja nic nie robię — odrzekł obrażony. — Coś za mnie posuwa moją rękę. Zapytaj pani Grantly. Niech ona zatrzyma, jeśli chcecie żeby była zatrzymana. Ja sam zatrzymać nie mogę. Do licha! Spójrzcie na te wykrętasy! To nie moja ręka. Jak żyję nie pisałem wykrętasami.

— Proszę zachować powagę—groziła pani Grantly. — Atmosfera kpin i żartów źle wpływa na doświadczenie z ekierką.

— No, już dosyć, mam wrażenie, — powiedział Robert odejmując rękę od deseczki. — Przeczytajmy teraz.

Schylił się i poprawił binokle. — W każdym razie zaszczycony zostałem czemś więcej niż moi poprzednicy. To jest, bądź co bądź, pismo. No, Lute, ty masz młode oczy.

— Ach, cóż za zamaszyste litery! — wykrzyknęła Lute, spojrzawszy na papier. — Ależ patrzcie! Tu są dwa różne pisma!

Zaczęła czytać: „*To pierwszy wykład. Zapamiętajcie tę sentencję: Jestem siłą dodatnią, nie ujemną.*

Zastanówcie się nad miłością dodatnią, pozytywną. Po tem, co się stanie, spokój i harmonja przenikną i otoczą ciało. Dusza zaś...“ Na tem kończy się jedno pismo. Drugie powiada tak: *„Bullfrog 95. Dixie 16. Golden Anchor 65. Golden Mountain 13, Sim Butler 70. Jumbo 75. Nord Star 42. Rosene 7. Black Butte 75. Brown Hope 16. Iron Top 3“.*

— Oho, jak nisko stoi *Iron Top!* — mruknął pan Barton.

— Robert! Cóż to za kpiny z całego towarzystwa! — strofowała małżonka.

— Żadne kpiny — bronił się napadnięty. — Czytam tabelę akcji. A przez jakiego djabła, darujcie mi państwo, znalazła się tabela akcji na tym papierze — tego już niewiem.

— To wpływ pańskiej podświadomości zapewne — poddał Chris. Wyczytał pan te ceny w dzisiejszym kurjerku.

— Nie czytałem; w zeszłym tygodniu przeglądałem tabelę akcji po raz ostatni.

— Dzień czy rok, to dla podświadomości wszystko jedno — rzekła pani Grantly. — Podświadomość przechowuje i nie zapomina. Co do mnie, nie przypisuję coprawda tych objawów działania podświadomości. Nie podejmę się jednak wyjaśnić na czem polegają one faktycznie.

— A cóż powiecie o tym pierwszym kawałku? — zagadnął wuj Robert. — Jakgdyby kazanie misjonarza....

— Albo zgoła teozofja — dodała ciotka Mildred. — Jakiś wykład dla neofitów.

— Dalej, doczytajmy do końca—dysygował wuj.

„Zetknięcie się z potężnymi duchami — czytała Lute. — *Staniesz się jednym z nas. Imię twoje będzie „Arją" i będziesz... „Conqueror" 20, „Empire" 13, „Columbia" 18, „Midway" 140...* To już wszystko. Nie jeszcze ostatni zamaszysty wykrętas: *Aria z Kandoru.* To zapewne Mehatma.

— No, niechże teraz Chris tłomaczy nam tę teozofję na zasadzie podświadomości — wyzywał wuj Robert.

— Chris wzruszył ramionami. — Nie mam żadnego tłomaczenia. Widocznie trafiły do nas wieści przeznaczone dla kogo innego.

— Druty się poplątały, hę? — parsknął wuj Robert. — „Wielokierunkowy, wszechstronny telegraf duchowy". — Dobra nazwa, co?

— Nie, tym razem wychodzą naprawdę nonsensa — powiedziała pani Grantly. — Nigdy nie widziałam żeby ekierka zachowywała się tak nieznośnie. Widocznie przeszkadzają czyjeś prądy destrukcyjne. Czułam je od początku. Może dlatego, że państwo wszyscy zachowują się zbyt drwiąco i wesoło.

— Istotnie, nieco powagi winno okraszać ten obrzęd — przyznał Chris, kładąc rękę na ekierce.—Proszę pozwolić mi spróbować. I niechże nikt z państwa łaskawie nie kpi i nie wybucha śmiechem, a nawet niech nie waży się pomyśleć słowa „śmiech" albo „kpiny". Jeżeli zaś wuj Robert ośmieli się parsknąć, kichnąć lub chrząknąć — niech pamięta, że tajemnicza zemsta z zaświata dosięgnąć go może w chwili najbardziej niespodziewanej.

— Będę grzeczny — obiecał wuj Robert. — Ale jeżeli naprawdę będę musiał kichnąć, czy mam cichutko wyślizgnąć się z namiotu?

Chris skinął głową. Ręka jego została niezwłocznie wprowadzona w ruch. Bez żadnych próbnych drgań, bez żadnych przygotowań, bez czekania. Rękę porwało coś natychmiast, ołówek sunął gładko i wprawnie po papierze.

— Proszę spojrzeć na niego — szepnęła Lute do ciotki. — Proszę patrzeć jaki blady!

Chris drgnął na dźwięk jej głosu. Od tej chwili zapanowała cisza. Słychać było tylko uparty zgrzyt ołówka. Nagle Chris oderwał rękę, jakby ukąszony przez żmiję. Z westchnieniem i ziewnięciem odszedł od stołu i popatrzał na obecnych pół-przytomnie, jak człowiek dopiero co obudzony ze snu.

— Zdaje mi się, że coś napisałem — wyrzekł.

— O, tak!—zauważyła z satysfakcją pani Grantly, podnosząc arkusik do góry i przyglądając się uważnie.

— Proszę przeczytać głośno—prosił wuj Robert.

— Dobrze. Zaczyna się od słowa „Baczność!" napisanego trzykrotnie, znacznie większemi literami niż tekst pozostały. „*Baczność! Baczność! Baczność!* A potem: „*Chris Dunbar, mam zamiar cię zniszczyć. Już dwa razy robiłem zamach na twoje życie ale chybiłem. Kiedyś jednak dopnę swego. Tak bardzo jestem pewien że nawet cię o tem zawiadamiam. Nie potrzebuję mówić ci dlaczego to uczynię. W sercu swoim będziesz sam znał przyczynę. Zło, które czynisz*" — Tu urywa się pismo.

Pani Grantly złożyła papier i spojrzała na Chrisa, który stał się odrazu przedmiotem ogólnego zainteresowania. Sam zaś stał i ziewał, jakby zdjęty nagłe nieodpartą sennością.

— Nader krwiożerczy duch, rzec można — zauważył wuj.

— *„Już dwa razy robiłem zamach na Twoje życie“* — odczytała po raz drugi pani Grantly.

— Na moje życie? — zapytał ziewając Chris. — Nic podobnego. Nikt nawet raz nie pokusił się o moje życie. Och, jakże mi się naraz spać zachciało!

— Mój chłopcze, myślisz w tej chwili o ludziach z krwi i kości — śmiał się wuj Robert. — A to przecie duch. Zamach na Twoje życie przeprowadzały jakieś niewidzialne moce. Zapewne ręce duchów próbowały deranżować cię we śnie.

— O Chris! — krzyknęła nagle impulsywnie Lute. — Dziś popołudniu! Mówiłeś o ręce, która chwyciła za uzdę!

— Żartowałem, dziecino — przerwał.

— A jednak... — Lute nie dopowiedziała swej myśli.

Pani Grantly poczuła ślad czegoś ciekawego.

— Co się stało dziś popołudniu? Czy cokolwiek groziło twemu życiu?

Senność chłopaka już minęła. — Sam zaczynam interesować się tą historją — przyznał.—Nic nie mówiliśmy jeszcze oboje z Lute. Mój koń złamał sobie kark dzisiaj. Rzucił się z pochyłego brzegu. Ale mnie udało się jakoś zeskoczyć w porę.

— Dziwy, dziwy — myślała głośno pani Grantly. — Coś w tem jest. To ostrzeżenie. Ach! A wczoraj pokaleczył pana koń panny Story. Oto są oba zamachy!

Spojrzała triumfalnie po zebranych. Ekierka została zrehabilitowana!

— Nonsens — zaśmiał się wuj Robert, lecz tym

razem z lekką irytacją w głosie. — Takie rzeczy ni
zdarzają się w naszych czasach. Mamy już wiek dwu
dziesty, łaskawa pani. Wszystko to razem pachni
nie średniowieczem.

— Miewałam już takie nadzwyczajne wypadki z
ekierką — zaczęła pani Grantly. Potem nagle wsta-
ła, podeszła do stołu i położyła rękę na deseczce.

— Kto jesteś? — zapytała. — Powiedz nam swo-
je imię?

Ekierka zaczęła pisać natychmiast. Tym razem
wszystkie głowy — prócz głowy p. Bartona — pochy-
liły się nad papierem.

— To Dick! — krzyknęła nagle ciotka Mildred
z podźwiękiem histerji w głosie.

Mąż jej wyprostował się, poraz pierwszy poważ-
ny tego wieczoru.

— Tak, to podpis Dicka. — Stwierdził. — Po-
znam te litery pośród tysiąca innych.

— *„Dick Curtis"* — przeczytała głośno pani
Grantly. Kto to jest Dick Curtis?

— Na Jowisza! To nadzwyczajne! — wtrącił pan
Barton. Pismo jest w obu wypadkach to samo. —
Sprytnie, daję słowo, sprytnie — dodał z podziwem.

— Pokażcie mi bliżej — zażądał wuj Robert,
biorąc papier i zbliżając do oczu. — Tak, to pismo
Dicka.

— Ale któż to jest Dick? — nastawała pani
Grantly.

— Dick Curtis, cóż, był to swego czasu kapitan
Ryszard Curtis — odpowiedział wuj Robert.

— To był ojciec Lute — dodała ciotka Mildred.
Lute nosi teraz nasze nazwisko. Nie widziała nigdy

ojca. Umarł, kiedy miała parę tygodni. Był moim bratem.

— Zastanawiające, bardzo zastanawiające — przerwała pani Grantly. — Dwa zamachy na życie pana Dunbara miały miejsce istotnie. Tej wiadomości nie mogła stworzyć nasza podświadomość, bo nie wiedzieliśmy o wypadku dzisiejszym.

— Ja wiedziałem — odrzekł Chris. — I ja trzymałem rękę na ekierce. Wytłomaczenie jest nader proste.

— Ależ pismo—przeciwstawił się pan Barton.— To co napisał pan i to, co skreśliła pani Grantly jest identyczne.

Chris pochylił się i porównywał litery.

— Zresztą — zawołała pani Grantly — pan Story poznał to pismo.

Spojrzała na zagadniętego, czekając potwierdzenia.

Skinął głową. — Tak, to ręka Dicka. Przysiągłbym na to.

Podczas gdy całe towarzystwo dyskutowało — Lute przeżywała nagłą wizję. W powietrzu krzyżowały się słowa w rodzaju: „zjawisko fizyczne", „autohypnotyzm", „objawienie nowej prawdy", „spirytyzm" — dziewczyna wróciła myślą do obrazu jaki przez lata dziewczęce wytworzyć sobie zdołała na temat swego ojca-żołnierza, niewidzianego nigdy. Posiadała jego szablę, widziała kilka starych dagerotypów, słyszała mnóstwo opowiadań. Z tych strzępów zbudowała sobie własny, fantastyczny obraz.

— Istnieje możliwość mimowolnego wpływania

jednej świadomości na drugą — mówiła pani Grantly. Tymczasem przed oczyma Lute pędził ojciec na owym wspaniałym siwym rumaku. O, teraz prowadzi swój oddział do boju! Potem widziała go na samotnym wywiadzie — wreszcie pośród straszliwych Indjan na Słonej Łące, skąd oddział wrócił zdziesiątkowany. I w obrazie fizycznym ojca, który sobie wytworzyła malowała się również duchowa jego istota wcielona przez artystyczną i pełną uwielbienia wyobraźnię córki w rysy i ich wyraz. Oto jego odwaga, zapalczywy temperament, impulsywna zdobywczość, zdolność do uniesień w obronie sprawiedliwej sprawy, gorąca wspaniałomyślność, umiejętność przebaczenia, rycerskość, wyznająca ideały równie prymitywne jak czasy średniowiecza. Przedewszystkiem jednak i poza wszystkiem dostrzegała w obrazie ojca swą namiętność i szybkość wszelkiego czynu, która zyskała mu nazwę „Walczącego Dicka".

— Pozwólcie mi na jedną próbę — usłyszała głos pani Grantly. — Niech panna Lute sama dotknie ekierki. Może dowiemy się czegoś więcej.

— Nie, nie, bardzo proszę panią — przeciwstawiła się ciotka. — To zbyt niesamowite i niezdrowe. Pozatem, to zapewno grzech przyzywać umarłych. Już jestem zdenerwowana. Co do mnie, to idę spać, a Państwo mogą sobie eksperymentować ile zechcą. Jutro mi wszystko opowiecie.

Pośród wielogłośnych „dobranoc" zabrzmiały jeszcze nawpół szczere protesty pani Grantly, poczem ciocia Mildred wycofała się z towarzystwa.

— Robert wróci — zawołała odchodząc — jak tylko mnie odprowadzi do sypialnego namiotu.

— Przerwać teraz, to byłby naprawdę wstyd — powiedziała pani Grantly. Może jesteśmy na drodze do niezwykłego zjawiska. Nie zechce pani sprobować, panno Lute?

Lute usłuchała, ale opierając rękę na ekierce uświadomiła sobie uczucie lekkiego lecz przykrego strachu, jaki daje zawsze zetknięcie z nieznanem i nadprzyrodzonem. Była dzieckiem dwudziestego wieku, owe zaś doświadczenia pachną średniowieczem, jak powiada wuj Robert, a przecież nie mogła opanować instynktownej trwogi — tego dziedzictwa po pradawnym przodku, który dziki i do małpy podobny bał się ciemności i żywioły uważał za potęgi złego ducha. Lecz jak tylko ekierka ruszyła z miejsca i ołówek zaczął pisać, poczucie nieznanego minęło i pozostała tylko ciekawość. Nagle napłynęła ku niej nowa wizja—tylko tym razem obraz matki, również nie pamiętanej za życia. Obraz nie był tak żywy i ostry, jak poprzedni, lecz raczej mglisty i niejasny — piękna głowa w aureoli słodkiej i miękkiej jasności, prześwietlona jeszcze wyrazem spokojnej determinacji czy też zaciętej woli, która w dniach życia wcieliła się przedewszystkiem w wyrzeczenie.

Po chwili ręka Lute zatrzymała się i pani Grantly już czytała zapisaną kartę.

— Pismo jest inne — powiedziała. — Kobieca ręka. Podpis „Marta". Któż to jest Marta?

Lute nie okazała zdziwienia. — To moja matka— rzekła poprostu.

— Cóż ono mówi?

Lute nie czuła się senna, jak Chris przed chwilą,

ale czujne ostrze jej energicznej żywotności zostało jakby stępione. Odczuwała coś w rodzaju słodkiego, spokojnego zmęczenia. Podczas gdy czytano kartkę— Lute pełne miała oczy matczynego obrazu.

— *„Drogie dziecko"* — czytała pani Grantly — *„nie zwracaj uwagi na to, co on mówi. Zawsze był zbyt porywczy w słowie i w czynie. Nie bój się miłości. Miłość cię nie skrzywdzi. Odtrącenie miłości jest grzechem. Słuchaj serca nie uczynisz wtedy nic złego. Jeżeli zbytnio zważać będziesz na względy ludzkie, a nawet na dumę własną, albo na głos tych, co każą ci iść wbrew swemu sercu — popełnisz grzech. Nie przejmuj się słowami ojca. Gniewny jest, jak ongiś bywał na ziemi; ale zrozumie z czasem mądrość mojej rady, bo zawsze uznawał ją na ziemi. Kochaj, moje dziecko i kochaj dobrze. Marta"*.

— Chcę to zobaczyć! — zawołała Lute, chwytając papier i pożerając pismo oczyma. Drżała cała z niewypowiedzianej miłości dla matki, której nigdy nie widziała. Owe słowa z za grobu zdawały się nasycać życiem i prawdą wizję wyobraźni.

— To jest doprawdy zastanawiające — rozumowała pani Grantly. — Nic podobnego nigdy mi się nie zdarzyło. — Pomyśl tylko, moje dziecko, tego wieczoru są tu z nami oboje twoi rodzice!

Lute zadrżała. Zmęczenie już minęło, powróciła zwykła natura człowiecza, pełna instynktownej trwogi przed nieznanem. Pozatem, uczuciowość dziewczyny czuła się boleśnie dotknięta że oto te dwie drogie obecności dotykane są obojętnie przez obce istoty ludzkie — panią Grantly, ponurą i niesamowitą

i pana Bartona, tępego i głupiego, wcielającego brutalność fizyczną i duchową. Prócz tego raniło dziewczynę poczucie że oto ci obcy wprowadzeni zostali mimowoli w jej najtajniejsze sprawy miłosne.

Posłyszała kroki zbliżającego się wuja. Sytuacja odrazu wydała jej się jasna i oczywista. Złożyła szybko zapisaną kartkę i schowała za bluzkę.

— Państwo będą łaskawi nie mówić wujowi o tych ostatnich objawach. Ani cioci. — Sprawiłoby im to tylko zbyteczny niepokój i zdenerwowanie.

Miała też na myśli osłonięcie ukochanego chłopca, wiedziała bowiem że naprężenie stosunków z ciotką i wujem na temat Chrisa pogorszy się jeszcze — mimowoli i nieświadomie — po złowrogich przepowiedniach ekierki.

— I, naprawdę, możebyśmy już przerwali te doświadczenia — ciągnęła pospiesznie Lute. Zapomnijmy o wszystkich tych głupstwach, które zaszły.

— O głupstwach, drogie dziecko? — zaprotestowała zgorszona pani Grantly, kiedy wuj Robert podszedł do stołu.

— No, jakże tam? — zapytał.—Jest co nowego?

— Zapóźno wujaszek przyszedł — odrzekła swobodnie Lute. — Już żadnych ciekawych nowin o giełdzie. Ekierka odpoczywa my zaś właśnie rozprawiamy teoretycznie na jej temat. Czy już bardzo późno?

— No, cożeście porabiali wczoraj wieczorem po naszem wyjściu?

— Poszliśmy na mały spacerek. — Odpowiedział Chris. W oczach Lute zagrały iskierki uśmiechu. — Z... z imć panem Bartonem?

— A jakże.
— I cygarko było w robocie?
— Ma się rozumieć. Ale dlaczego pytasz?
Lute wybuchnęła śmiechem. — Bo ci mówiłam że tak będzie. No, czyż nie jestem dobrym prorokiem? Wyobraź sobie, wiedziałam już o wszystkiem zanim mi powiedziałeś. Spotkałam pana Bartona; przysięgał na wszystkie swoje bóstwa i fetysze, że jesteś najdoskonalszym młodzieńcem jakiego widział był kiedykolwiek. Epidemja uwielbień dla Chrisa Dunbara dosięgła nawet tak solidnego jegomościa jak ów Barton. No, ale nie skończyłam jeszcze swojej indagacji. Gdzie byłeś cały ranek?
— Tam, gdzie zaprowadzę cię dzisiaj popołudniu.
— Aha, planujesz zgóry, nie znając moich projektów.
— Znam doskonale twoje projekty i życzenia. Zechcesz napewno obejrzeć konia, którego sobie wybrałem.
— O, tak, tak! — zawołała z zachwytem.
— Cudowny, powiadam ci! — ciągnął chłopak. Nagle twarz dziewczyny spoważniała i lęk odbił się w jasnych źrenicach.
— Ma na imię Comanche — mówił Chris. — Piękność, prawdziwa piękność, doskonały okaz Kalifornijskiego „cow-pony". Zbudowany — cacko! Ależ co ci jest, kochana?
Spojrzał na nią zdumiony. Odważnie spotkała jego oczy.
— Koniec świata — zaczął — istny koniec świata! Gwiazdy padają z nieba, firmament zwija się jak

stara płachta, żywi i umarli zbierają się na Sąd Ostateczny, woły i osły, słudzy i służebnicy! Święci w białych szatach, złote harfy, a tam oto dusze potępione wyją, padając w otchłań piekielną! A wszystko to marzy mi się dlatego, że panna Lute Story nie dba już o konną jazdę. Koń, panno Lute! Najprawdziwszy koń!

— Tak, narazie istotnie nie mam ochoty — odrzekła prosząco.

— Cóż za dziwy! — zawołał; — Czy źle się czujesz? Ty, zawsze tak nieznośnie, tak zachwycająco zdrowa!

— Nie, nie o to chodzi — odrzekła. Wiem, że może ci się wydać dziwne. Ale nic na to nie poradzę. Twierdzisz zawsze, że jestem wrośnięta korzeniami w realność, w normalność życia, a tymczasem... może to przesądy... ale widzisz... te ostatnie wypadki, te słowa ekierki, to podobieństwo do pisma ojca! I ta jakaś dziwaczna możliwość, że to właśnie jego niewidzialna ręka ściągnęła wtedy cugle Bana i pchnęła jego wraz z tobą ku śmierci — ten zbieg okoliczności że ojciec mówił o dwóch zamachach i istotnie dwukrotnie życie twoje było teraz narażone przez konie

— Ojciec był zawołanym koniarzem. — Wszystko to, wyznaję, dokucza mi i niepokoi. Czyż jest w tem jakieś źdźbło prawdy? Nie jestem pewna. Nauka, mojem zdaniem, zbyt dogmatycznie odtrąca Niewidzialne. Siły Niewidzialnego, siły ducha mogą być tak subtelne, że nauka nie zdolna jest dotychczas położyć na nie ręki, rozpoznać, zważyć, zasegregować. Czy nie uważasz, Chris, że mój niepokój może mieć pe-

wne uzasadnienie? Może małe, maleńkie — ale ma. Kocham cię i nie chcę nawet najmniejszego ryzyka. Zresztą, jestem kobietą. To najzupełniej usprawiedliwia moją skłonność do przesądów.

— Wiem, wiem, nazwij to brakiem poczucia rzeczywistości. Słyszałam jednak, jak sam ongiś wygłaszałeś paradoksy na temat rzeczywistości Nierealnego. Rzeczywistości istniejącej dla chorych mózgów. Tak właśnie jest ze mną. Może to iluzja, twór wyobraźni, ale dla mnie w obecnym stanie mego mózgu — to rzeczywistość. Taka sama jak marzenie senne, dopóki człowiek pogrążony jest we śnie.

— Najlogiczniejsza obrona nielogiczności jaką kiedykolwiek słyszałem — uśmiechnął się Chris. — Zaokrąglasz swoją filozofję znacznie obszerniej niż ja to uczyniłem. Przypomina mi to niejakiego Sama, starego ogrodnika, który służył ongiś u moich rodziców. Zastałem go pewnego razu dyskutującego z Marcinem w stajni. Wiesz jakim zawziętym egoistą jest Marcin. Otóż Marcin zalewał Sama potokami swej logiki i wymowy. Sam wysłuchał, pomyślał chwilę, potem odrzekł: „Prawda, panie Marcin, że oświetliłeś sobie drogę, jakbyś cały dom podpalił. A jednak odemnie lepiej widać". „O co chodzi?" pytał Marcin. „Uważacie, panie Marcin, mogliście mieć dwie szanse, a jednęście cisnęli w błoto na przepadłe". „Nie rozumiem" — odrzekł Marcin. „A bo widzicie, to jest tak: Macie tylko szansę zostania pożywieniem dla robaków co siedzą na mojej kapuście. Ja zato mam jeszcze szansę śpiewania na chwałę Pana i gracowania jego złocistych ścierek. Prócz tego nie tracę szansy przysłużenia się robakom wraz z tobą, panie Marcin".

— Dla czego nie chcesz wziąć poważnie tego, co mówię? — dąsała się leciutko Lute, zaszczyciwszy uprzednio anegdotę śmiechem.

— Jakżeż mogę brać poważnie ową sławetną ekierkę?

— Ale wytłomaczyć tego zjawiska nie potrafisz! Pismo mego ojca poznał Wuj Robert. Wogóle cała historja jest niepojęta.

— Nie znamy wszystkich tajemnic ludzkiego mózgu — odparł Chris. — Nie wątpię jednak, że podobne zjawiska doczekają się wkrótce naukowego wytłomaczenia.

— Co do mnie, nie wątpię również, narazie jednak czuję nieprzezwyciężoną ochotę sprobowania raz jeszcze ekierki. Cały przyrządzik leży od wczoraj na stole. Sprobujmy we dwoje, nikt nie będzie o tem wiedział.

Chris chwycił ją za rękę i zawołał: — Chodźmy! Będzie pyszna zabawa!

Pobiegli razem do płóciennej jadalni wspartej na kolumnadzie drzew.

— W obozie pustki — mówiła Lute, ustawiając ekierkę na papierze. — Pani Grenthy i Ciocia ucinają drzemkę, pan Barton poszedł z Wujem na spacer. Nie przeszkodzi nam nikt.

Położyła rękę na ekierce. — Zaczynamy.

Przez pierwsze kilka minut nie zdarzyło się nic. Chris chciał coś powiedzieć, ale Lute kazała mu milczeć. Lekkie drżenie przebiegało jej rękę i ramię. Potem ołówek zaczął pisać. W miarę pisania, czytali słowo po słowie:

„Istnieje mądrość większa niż mądrość rozumu. Miłość nie płynie suchymi niczem piasek drogami mózgu. Miłość rośnie w sercu i wyrasta ponad rozum, ponad wszelką logikę i filozofję. Zawierz swemu sercu, córko moja. Jeśli wierzysz człowiekowi którego kochasz, śmiej się z mózgu, jego chłodnego rozumu i słuchaj serca. Marta".

— Ależ te wszystkie słowa dyktuje poprostu twoje własne serce! — zawołał Chris. — Czy tego nie widzisz? Myśl jest twoja własna i podświadomie przelałaś ją na papier.

— Dobrze, ale jedna rzecz pozostaje niewyjaśniona.

— Cóż mianowicie?

— Pismo. Spojrzyj. Zupełnie nie przypomina mojego. Jest staroświeckie, staroświecko - kobiece, zupełnie nie dzisiejsze.

— Przecież nie zechcesz mnie przekonywać, że to istotnie piszą do nas umarli! — przerwał.

— Nie wiem, Chris — zawahała się. — Nie jestem pewna. Nie wiem.

— Ależ to absurd! — zawołał. — To gra wyobraźni. Jeśli człowiek umarł, to umarł. Obrócił się w proch. Poszedł na żer dla robaków, jakby powiedział Martin. Umarli? Śmieję się z potęgi umarłych. Umarli nie istnieją. Niema ich. Nie wierzę w siły z poza grobu! Umarły jest prochem!

— No, a cóż powiesz teraz? — dodał wyzywająco, kładąc rękę na ekierce.

Ołówek natychmiast zaczął pisać. Oboje młodzi zdumieni byli tą nagłością. Wieść była krótka:

„BACZNOŚĆ! BACZNOŚĆ! BACZNOŚĆ!"

Chris drżał wyraźnie, ale probował się śmiać. Zupełnie jakieś czarnoksięskie sztuki. Śmierć przemawia do nas zza grobu. Ależ, moi najmilsi, gdzie jesteście? I wy, i stare bożki i wszelkie lary a penaty?

Lute jednak nie podzielała tej brawury. Lęk odbił się na jej twarzy. Dotknęła drżącą ręką ramienia chłopaka.

— O, Chris, przestańmy już. Żałuję żeśmy zaczęli. Zostawmy umarłych w spokoju. To grzech. To napewno grzech. Wyznaję, że jestem tem przejęta. Nie mam na to rady. Ręce mi drżą, i tak samo drży dusza. Ta mowa zza grobu, ta nieżywa ręka wyciągająca się poprzez pokolenie, żeby obronić mnie przed tobą! To ma swój sens, ma napewno. Istnieje przecież jakaś tajemnica, która nie pozwala ci na małżeństwo ze mną. Gdyby ojciec żył, byłby mnie bronił przed tobą. Nie żyje, ale wciąż jeszcze probuje to czynić. Jego ręce, jego niecielesne ręce czyhają na twoje życie!

— Uspokój się, uspokój, dziecko — wmawiał łagodnie Chris. — Posłuchaj, to wszystko jest nonsens. Mamy do czynienia z grą naszych własnych subjektywnych sił, ze zjawiskiem, którego nauka jeszcze nie wyświetliła. Psychologja jest nauką tak bardzo młodą! Zaledwie dopiero odkrywa istnienie podświadomości, jeśli tak rzec można. Niemniej podświadomość jako taka pozostaje dla nas tajemnicą. Prawa jej zaledwie uczymy się formułować. To, co dzieje się wobec ekierki jest poprostu zjawiskiem psychofizycznem, które jeszcze nie doczekało się wyjaśnienia.

Nie znaczy to jednak żebyśmy odrazu przypisywać je mieli spirytyzmowi. Dotychczas nie wiemy nic. Jeżeli zaś chodzi o ekierkę jako taką...

Przerwał nagle, mówiąc bowiem oparł mimowoli palce na deseczce i natychmiast palce pochwycone zostały w ruch, niby przez jakiś gwałtowny paroksyzm i posłane pomimo oporu w wędrówkę po papierze. Ołówek pisał porywczo, jakby ręką zagniewanego człowieka.

— Już nie chcę myśleć nad wyjaśnieniami — wyrzekła Lute, kiedy pisanie ustało. — Mam wrażenie, że jestem świadkiem walki pomiędzy ojcem a tobą. Jest w tem nawet cała gwałtowność walki, jej ciosy, jej zawziętość.

Przeczytała: „*Nie możesz uniknąć mnie i kary na którą zasłużyłeś!* Może naprawdę zanadto rozigrała mi się wyobraźnia, ale poprostu widzę jego ręce u twojej szyi. Wiem, że on jest prochem, wiem, że go niema, jak powiadasz, ale pomimo wszystko widzę go ciągle żywego, chodzącego po ziemi, widzę jego gniew, jego mściwość i wiem, że to skierowane jest przeciwko tobie.

Zmięła zapisany skrawek papieru i odrzuciła ekierkę precz.

— Nie będziemy już więcej zajmować się temi głupstwami — powiedział Chris. — Nie przypuszczałem, że zrobi to na ciebie tak silne wrażenie. Pewien jestem, że to tylko nasza własna podświadomość, no i sporo sugestji na dodatek. Całe napięcie naszej sytuacji wzajemnej wytwarza nader sprzyjające warunki dla takich objawów.

— Wracając do naszej sytuacji wzajemnej — mówiła Lute, kiedy zwolna wchodzili po ścieżce, którą zbiegli byli przed pół godziną. — Nie wiem jak powinniśmy postąpić. Czy wszystko pozostawić jak jest dotychczas? Jak lepiej? Czy myślałeś o tem?

Milczał chwilę. „Myślałem, żeby powiedzieć twojej ciotce i wujowi" — odparł wreszcie.

— To, czego nie mogłeś powiedzieć? — zagadnęła pośpiesznie.

— Nie, — odrzekł zwolna. — Tylko tyle, ile powiedziałem tobie. Nie mam prawa powiedzieć im więcej, niż tobie.

Tym razem zamyśliła się Lute. — Nie, lepiej nic im nie mów — zdecydowała po długiej chwili. — Nie zrozumieją. Ja coprawda nie rozumiem również, ale mam wiarę w ciebie, oni zaś z samej natury rzeczy takiej ślepej wiary mieć nie mogą. Stawiasz przedemną tajemnicę, która uniemożliwia nasze małżeństwo. Dobrze, ufam ci. Oni jednak nie będą mogli oprzeć się krzywdzącym podejrzeniom co do rodzaju i natury tej tajemnicy. Zwiększy to jeszcze ich niepokój i zdenerwowanie.

— Powinienem odejść, wiem, że powinienem odejść — szeptał chłopak. — I mogę. Nie jestem słaby. Raz nie udało mi się pozostać daleko od ciebie, ale to nie znaczy, że ma mi się nie udać po raz drugi.

Dziewczyna schwytała oddech jakby w nagłem, krótkiem łkaniu.

— To męka słyszeć, jak mówisz o odejściu, o pozostaniu zdaleka. Nigdy cię więcej nie zobaczę! To byłoby zbyt straszne. Nie wyrzucaj sam sobie

dawnej słabości. To była moja wina. To ja nie pozwoliłam ci zostać daleko. Zbyt mocno cię pragnęłam. Zbyt mocno cię pragnę.

Nie trzeba nic robić, Chris. Niech wszystko zostanie po dawnemu. Jakoś samo musi się rozwiązać. To jest jedyną rzeczą, którą zawsze napewno wie człowiek: jakoś wszystko rozwiąże się samo.

— Ale rozwiąże się łatwiej jeśli ja odejdę — poddał.

— Jestem szczęśliwsza, kiedyś ty blisko.

— Okrucieństwo życia — rzucił dziko.

— Odejść czy pozostać — jedno i drugie jest początkiem jakiegoś rozwikłania. Ale ja nie chcę, żebyś ty odchodził, Chris. Wiesz o tem. A teraz — dosyć. Słowa nic tu nie pomogą i nie zmienią. Nie wspominajmy o tem, dopóki... dopóki nie nadejdzie ta cudowna radosna chwila, że będziesz mógł podejść do mnie i powiedzieć:

„Lute, jestem wolny. Wszystko już dobrze. Tajemnica już mnie nie wiąże. Do tego czasu zapomnijmy o tem, zarówno jak i o ekierce i starajmy się wydobyć jaknajwięcej szczęścia z tej odrobiny możliwości jaka nam jest dana.

A teraz, żeby ci dowieść, że potrafię wydobywać to maksimum z tego minimum — gotowa jestem nawet iść dzisiaj popołudniu obejrzeć z tobą tego konia, chociaż... chociaż wolałabym, żebyś nie jeździł konno przynajmniej kilka dni, przynajmniej tydzień. Jak się nazywa ten koń?

— Comanche — odpowiedział Chris. — Pewien jestem, że go polubisz.

Chris leżał nawznak, oparty o nagą, stromą ścianę skalną, i zapatrzony uważnie w przeciwległy lesisty stok. W krzakach poszycia rozległ się trzask, bicie podków o kamienie i nagle zerwany kamień staczać się począł po zboczu, wlokąc za sobą sypkie strumyki piargu. Chłopak dostrzegał migocącą po przez zieleń bronzową barwę lekkiej amazonki Lute oraz lśniącą gniadość konia, który niósł dziewczynę.

Wyjechała na małą, pochyłą polankę nieporosłą drzewami ani trawą. Wstrzymała konia na pochyłości i oczyma zmierzyła wysokość. O czterdzieści stóp poniżej, stok przechodził w niewielki lecz twardy taras, utworzony tu widocznie przez opadającą latami z urwiska ziemię.

— To będzie doskonała próba! — zawołała dziewczyna poprzez wąwóz. — Sprobuję zjechać tędy.

Zwierzę śmiało ruszyło na zdradliwy teren, nieregularnie podnosząc i opuszczając tylne nogi, przednie zaś trzymając możliwie jaknajsztywniej. Stąpał powoli, spokojnie, bez trwogi i wzruszenia, cierpliwie wyciągając przednie nogi z miękiej pulchnej ziemi, która sypała się falą.

Kiedy osiągnięty został twardszy teren, gniadosz ruszył wzdłuż tarasu tak sprężystym i tanecznym krokiem z takimi iskrami w oczach, z tak niecierpliwym dreszczem biegnącym pod gładką skórą, że zdawał się kłam zadawać swojej własnej niedawnej ostrożności i opanowaniu.

— Brawo! — huczał poprzez wąwóz Chris, klaszcząc w dłonie.

— Najmądrzejsze końskie nogi i najjaśniejszy mózg jaki kiedykolwiek widziałem! — odkrzyknęła Lute, zwracając wierzchowca w bok i znowu zanurzając się w leśną gęstwinę.

Chris śledził słuchem jej zbliżanie, od czasu do czasu widząc ją migocącą pośród drzew. Zjechała po bezdrożu śmiałym zygzakiem. Wyłoniła się z lasu poniżej patrzącego chłopaka, na samym biegu rwącego potoczku i zatrzymała się, studjując możność przeprawy.

O jakieś cztery stopy od brzegu, wązki próg kamienny wystawał ponad powierzchnię wody. Powyżej tego progu gotował się mały, wściekły wir, lecz na lewo i nieco poniżej rozściełało się maleńkie złoże żwiru. Ogromny krągły kamień nie pozwalał dostać się bezpośrednio na żwir. Jedynym sposobem dostania się na ów żwir był skok na kamienny próg. Dziewczyna bacznie zmierzyła okiem sytuację. Ściągnięcie cugli oznajmiło patrzącemu, że już coś postanowiła.

Chris, przestraszony, zerwał się i obserwował wyraźne zamiary dziewczyny.

— Nawet nie próbuj! — zawołał.

— Wierzę temu konikowi! — odkrzyknęła.

— Nigdy w życiu nie zrobi tego bocznego skoku na żwir! — ostrzegał Chris. — Nie utrzyma nóg na kamieniu. Wpadnie w wodę. Jeden koń na tysiąc mógłby dokonać czegoś podobnego!

— Comanche jest właśnie tym jednym koniem — odrzekła Lute. — Uważaj!

Dała szenkla i dzielny rumak, zebrawszy się w sobie, skoczył prosto na kamienny próg, bliziuteńko zsunąwszy nogi. W momencie skoku, Lute leciutko uderzyła cuglami po szyi, kierując konia w lewo. W tejże chwili, chwiejąc się na śliskim gruncie i czując, że przednie nogi zsuwają się w wir wodny, Comanche uniósł się na tylnych nogach, w półobrocie zwrócił w lewo i opadł prosto na maleńkie złoże żwiru. Poczem już jednym krótkim łatwym skokiem przesadził potoczek i znalazł się na drugim brzegu. Lute spięła go i po paru susach zaryła przed chłopakiem.

— No cóż? — zapytała.

— Szalenie się bałem, — odrzekł Chris. — Nie śmiałem oddychać.

— Tak, tego konia, warto kupić, — zadecydowała Lute, zeskakując. To świetny interes. Z tym koniem odważyłabym się na wszystko. Nigdy w życiu nie czułam takiego zaufania do końskich nóg.

— Właściciel twierdzi, że jeszcze nic nigdy nie zbiło go z nóg, że absolutnie niepodobna go zwalić.

— Kup go, kup zaraz — radziła. — Zanim ten jegomość się rozmyśli. Jeżeli ty nie kupisz, to ja kupię. Ach, cóż za nogi! Czuję do nich takie zaufanie, że siedząc na grzbiecie Comancha wogóle o jego nogach nie myślę. To najlepszy dowód. Jest szybki jak kot i błyskawicznie posłuszny. Możnaby mu sprawić cugle z jedwabnej nitki. Powiedz, że zbytnio się zapalam? Dobrze. W każdym razie ja go kupię, jeśli ty nie chcesz.

Chris uśmiechnął się zgodnie, zmieniając siodła. Porównywał oba konie.

— Napewno nie da się pobić mojej Dolly, jak ongiś biedny Ban — zakończyła żałośnie panienka.

Chris podał jej rękę do strzemienia i ruszył w ślad za Lute popod stromy brzeg i na szeroki szlak publiczny. Nagle panienka zwolniła biegu, wołając:

— Przecież nie pojedziemy prosto do obozu!

— Zapominasz o obiedzie — ostrzegł.

— Ale pamiętam o koniu! — odparła. — Pojedziemy prosto na folwark i zapłacimy odrazu za konia. Obiad poczeka.

— Ale kucharka nie poczeka, — roześmiał się Chris. — Zawsze grozi, że „odejdzie" z powodu naszej niepunktualności.

— Pomimo to, pojedziemy — brzmiała odpowiedź. — Ciotka Mildred będzie musiała przyjąć nową kucharkę, ale my będziemy mieli Comanche'a.

Zwrócili konie w przeciwnym kierunku i wspinając się, poczęli jechać po stromej drodze wąwozu Nun, który wiódł przełęczą poprzez pasmo gór i spływał w dolinę Napa. Pochyłość była stroma, więc wspinali się bardzo wolno. Niekiedy wznosili się o dobre kilkaset stóp ponad łożysko potoku, niekiedy znów zjeżdżali na dno wąwozu, raz po raz przeskakując potok. Kłusowali w głębokim cieniu nagopiennych klonów i wysokich sosen, żeby wyłonić się potem na otwarte rozłogi podgórskie, na których ziemia leżała sucha i popękana w słońcu. Na jednym z takich rozłogów droga rozciągnęła się przed nimi poziomo na dobre ćwierć mili. Z jednej strony wyrastało olbrzymie cielsko gó-

ry. Z drugiej, stroma ściana kanjonu spadała niemożliwym do przebycia, urwistym stokiem aż do strumienia huczącego na dnie. Była to otchłań cudownej zieleni i cienistych głębi, przeszytych wędrownymi ostrzami promieni. Głos żywej wody pobrzmiewał w cichem powietrzu — słodko i sennie brzęczały pszczoły górskie.

Konie szły wolnego, spacerowego kłusa. Chris jechał po stronie zewnętrznej, spoglądając w zieloną głąb i rozkoszując się tem co widział. Od brzęku pszczół oddzielił się nagle nowy pomruk, jakby wódz spadający — i rósł z każdym susem koni.

— Patrz? — krzyknął chłopak.

Lute wychyliła się z siodła żeby zobaczyć. Na dnie zielonej głębi piana wodna wpadała w wązką gardziel skalną, skąd wybuchała po chwili, niby tętniąca wstążka bieli, zdyszana w swej szybkości, wiecznie lecąca w przepaść i wiecznie na nowo istniejąca w miejscu wylotu, coraz to inna w istocie i wciąż niezmienna w kształcie, powiewny rozprysk wody, tak daleki, niedosięgły i wiekuisty jak góry. Spinała srebrnym łukiem przestrzeń między gardzielą skalną na wyżynie a nisko rozsiadłymi czubami zieleni, w których piaszczystej zasłonie ginęła, by stoczyć się dalej w jakoweś nieświadome, oczom ludzkim ukryte jezioro.

Przemknęli. Wodospad stał się już tylko odległym pomrukiem, który zapadł znowu w słodkie brzęczenie pszczół — i ucichł. Popchnięci nagłym wspólnym odruchem — spojrzeli sobie w oczy.

— O, Chris! Jakże dobrze jest żyć... i mieć cię przy sobie!

Chłopak odpowiedział gorącym blaskiem oczu.

Wszystko co żyło zdawało się sprzyjać ich uniesieniu — sprawny ruch młodych ciał własnych i pięknych ciał zwierzęcych; lekka podnieta krwi płynącej w żyłach słodką rozkoszą zdrowia; ciepłe powietrze, pieszczące twarze balsamicznem dotknięciem, otulające ciała subtelnem, zmysłowem szczęściem. Piękno świata, coraz bardziej wyrafinowane zalewało ich rozkoszą bez dna, ludzką i świętą, na którą słów niema, lecz istnieje wyraz: spojrzenie, spojrzenie zdzierające tajemne zasłony duszy.

Chłopak i dziewczyna tonęli w swoich oczach. Konie szły powoli. Wiosna świata i wiosna młodości tętniła w sercach, kwitła wokoło. Tajemnica życia drżała w źrenicach, niosąc jakoweś nieczekane objawienie, znalezione po raz pierwszy, które nagle jednem czarodziejskiem słowem rozwiąże wszystkie pytania człowiecze, rozproszy wszystkie gorycze istnienia.

Droga skręciła łukiem, tak, że wyłonił się przed oczyma dalszy wyższy bieg wąwozu, i odległe jego łożysko widniało jakby ponad głowami jadących. Zakreślali łuk spokojnie, starając się trzymać jaknajbliżej skały, wpatrzeni w roztwierający się przed oczyma widok. Nie zabrzmiał żaden dźwięk ostrzegawczy. Dziewczyna posłyszała tylko, że nagle równy rytm kroków dwóch zgodnie biegnących koni został zmącony i przerwany. Odwróciła głowę tak szybko, że zdążyła jeszcze dostrzec upadek Comanche'a. Nie

było to potknięcie ani zachwianie. Koń runął tak gwałtownie, jakby śmierć chwyciła go w pół skoku, albo ogłuszył i powalił jakiś straszliwy cios.

W mózgu dziewczyny błysnęła nagle myśl o e-kierce. Wspomnienie wróciło pełne, jasne, przeszywające niby piorun. Dolly skręciła na zadzie, zdarta cuglami. Oczy Lute przylgnęły do padającego konia. Runął pod kątem prostym do kierunku drogi, podkurczając bezsilne jakby nieżywe nogi.

Wszystko to stało się podczas jednej z tych nieskończenie długich sekund, które zawrzeć w sobie u-mieją całą wieczność zdarzenia. Głucho jęknęła ziemia pod nagłem uderzeniem końskiego ciała. Gwałtowność upadku wyparła powietrze z płuc zwierzęcia w nieświadomym lecz potwornym ryku. Siła bezwładności porwała tułów konia i zsunęła poza brzeg. Ciężar jeźdźca na szyi przeważył i kazał lecieć głową w dół.

Dziewczyna była już zwieszona nad przepaścią, zeskoczywszy z konia niewiadomo jak i kiedy. Chris już poza siodłem i poza koniem, prawą nogą uwieszony by w strzemieniu. Urwisko spadało zbyt stromo, żeby się mogli zatrzymać w straszliwym locie ku dnu. Ziemia i piargi, zruszone ich rozpaczliwymi chwytami, sypały się przed nimi i za nimi niby mała lawina. Lute stała nieruchomo, spoglądając w dół i tylko ręką przyciskając serce. Lecz patrząc na rzeczywiste zdarzenie, widziała też prawdę inną oczyma duszy: oto żywa ręka ojca zadała cios straszny, powaliwszy konia w połowie skoku i wraz z jeźdźcem strącając w przepaść.

Pod dwoma skłębionemi w śmiertelnym locie ciałami stok wąwozu kończył się gzymsem skalnym, który z kolei ścięty był w drugie urwisko, znowu zakończone występem skalnym i raz jeszcze zerwane w przepaść, tym razem sięgające już dna wąwozu. Od miejsca skąd patrzała Lute do owego dna było najmniej czterysta stóp. Dostrzegła, że chłopak napróżno stara się kopnąć strzemię i wydostać nogę z pułapki. Comanche runął ciężko na wystający gzyms skalny, a drobną część sekundy lot ciała został powstrzymany. Człowiek zdążył uchwycić się jedną ręką niewielkiego drzewka manzanity. Lute zobaczyła, jak natychmiast pomógł sobie drugą ręką. Lecz już upadek konia rozpoczął się znowu. Dostrzegła jak wyprężyło się strzemię. Potem zobaczyła kochane ciało i wyciągnięte ramiona. Drzewko manzanity wyrwane zostało z korzeniem. Koń i jeździec runęli wgłąb i precz z oczu.

Na następnym gzymsie ukazali się znowu, złączeni i skłębieni. Czasem koń pod człowiekiem, czasem człowiek pod koniem. Chris zaniechał już walki i razem przetoczyli się przez zrąb i w przepaść trzecią. Blisko już brzegu ostatniej ściany Comanche zatrzymał się na wklęsłem leżu kamiennem. Leżał nieruchomo, zaś obok niego, wciąż jeszcze uczepiony strzemienia leżał jego jeździec, twarzą ku ziemi.

— Gdybyś tylko leżał spokojnie — wyrwało się jak oddech z ust patrzącej dziewczyny. Mózg jej nie przestawał szukać sposobów ratunku.

Lecz ujrzała, że koń rozpoczyna walkę nanowo i raz jeszcze błysnęło w jej myśli widmowe ramię oj-

ca, ściągające cugle i rwące zwierzę ku zgubie. Comanche stoczył się z kamiennego leża, za nim bezwładne ciało jeźdźca. Koń i człowiek razem zniknęli z oczu. Nie ukazali się więcej. Dosięgli dna.

Lute obejrzała się wokoło. Stała sama, samiuteńka jedna na całym świecie. Ukochany zniknął. Nie pozostało po nim żadnego śladu, prócz śladu podków Comanche'a.

— Chris! — krzyknęła raz i drugi; ale krzyknęła bez nadziei.

Z zielonych głębin przepaści i cichej przejrzystości powietrza dochodził tylko senny pobrzęk pszczół górskich i daleki szum wodospadu.

— Chris! — krzyknęła jeszcze po raz trzeci, zachwiała się i zwolna opadła w pył drogi.

Poczuła na ramieniu dotknięcie miękkiego nosa Dolly. Oparła głowę o szyję klaczy i czekała. Nie wiedziała czemu i na co czeka, jeno zdawało się dziewczynie, że nic już prócz czekania nie pozostało.

KONIEC.